





July



L. G. G.

PARYŻ I JEGO OBYCZAJE.



ZA POZWOLENIEM CENZURY RZĄDOWEJ



PARYŻ I JEGO OBYCZAJE.

PAWŁA DE KOCK

Charles Paul de

w DWÓCH TOMACH

Z FRANCUSKIEGO

LA GRANDE VILLE, NOUVEAU TABLEAU DE PARIS, COMIQUE, CRITIQUE
ET PHILOSOPHIQUE.

BIBLIOTEKA ZWIĄZKU ZAWODU
Pracowników Inst. Ubezpieczeń Spółk
RZPLITEJ POLSKIEJ
ODDZIAŁ I. w KRAKOWIE

TOM I.

WARSZAWA,

W Drukarni przy ulicy Rymarskiej N. 743.

—
1843.



191926

W S T Ę P.

WIELE pisano już o Paryżu; niewątpliwie jeszcze więcej pisać będą! Tyle jest przedmiotów do powiedzenia o tym rozległym mieście, będącym środkowym punktem sztuk, nauk, mód, przyjemności, a można nawet powiedzieć i cywilizacyi.

Nie mamy zamiaru pisać rozprawy; również nie mamy chęci opisywania Historji Paryża, a jeśli w naszym piśmie znajdzie się jaka pamiątka dawnych czasów, słów kilka o dawnych zwyczajach, dawnych obyczajach, niejaka kronika albo

szczegóły o dawnym Paryżu, uczyniliśmy to jedynie dla porównania z obecną epoką.

Bezwątpienia starając się skreślić wielkie miasto, to co zawiera ciekawego, zabawnego albo godnego uwagi możebyśmy co jeszcze zapomnieli.... ale jeśliby się na nas uskarżać miano, przekładamy żeby nas o krótkość naszego opisu, raczej, niż jego rozwlekłość obwiniano.

Opiszemy to cośmy widzieli, jest to najlepszy sposób być prawdziwym; co do dowcipu, komiczności, spostrzeżeń albo wykwintności, na cóż je obiecywać? Czytelnik mógłby nam odpowiedzieć jak Alceste: »Zobaczemy!«

W masie książek obznajmiających nas z Paryżem, odznaczają się: *Essais historique* przez *Saint-Foix* *Tableau de Paris*, przez *Mercier*; i *Historya Paryża*, przez *Dulaure*.

Atoli, *Saint-Foix* rozebrał nie wielką liczbę przedmiotów; *Historya Paryża* przez *Dulaure*, żadnego nie ma związku z obrazem obyczajów, zwyczajów, ubiorów i śmieszności dzisiejszego Paryża; wreszcie *Obraz* przez *Mercier* zabawny, krótki, lotny, i który często odczytywać z przyjemnością można, gdyż różność przedmiotów nie męczy nigdy uwagi czytelnika, obraz ten mówimy, również dla innéj

epoki był skreślony. Od czasów Merciera dzieła, ileż zmian zaszło w Paryżu! ileż nowych urządzeń, obyczajów w niepamięć puszczonech, zwyczajów zapomnianych, monumentów, instytucyi, nowych teatrów! ileż przyjemności wtedy nieznanych, a obecnie w zwyczaj obróconych! wreszcie tak fizycznie jak moralnie nie jest tym samym Paryż; a naśladowając plan Merciera co do rozmaitości, niejednostajności, krótkości albo rozległości przedmiotów, można utworzyć zupełnie nowe dzieło, przedstawiając obraz wielkiego miasta wśród XIX wieku.

Wadą większej części autorów jest mowa o sobie wtedy właśnie gdy im tylko rzeczą zajmować się należy, to jest stają zawsze między czytelnikiem a przedmiotem opisywanym, jakby chcieli mu powiedzieć:

«Za pozwoleniem, nie zapominaj że ja to «pisał; że ja to utworzyłem tę dowcipną «uwagę, ten żart wykwintny które wtobie «śmiech budzą.»

Wielu nawet ludzi utalentowanych wpada nieustannie w ten błąd, którego najmniejszą wadą jest pozbawienie czytelnika wszelkiego złudzenia i zajęcia się któreby w nim samo dzieło wznieciło.

Jeden, opisując burzę, powie; że doskonale pływa, i nie byłby dalekim wyratować z niebezpieczeństwa gdyby tonącym

cię widział; inny, mówiąc o winie szampańskim wspomni że znieść go nie może; wreszcie trzeci nadając bohaterowi swęj pracy treść polityczną, nieomieszka uczynić wzmianki o swym sposobie myślenia. Jeżeli Panowie piszecie pamiętniki, wszystko to uchodzi; ale nigdy nie bądźcie trzecią osobą między waszą książką a czytelnikiem; naówczas stajecie się podobnymi do tych ludzi którzy wśród reprezentacyi dramatu wyścibiają głowy z po za dekoracyi a którym wreszcie powiedzieć wypada: «precz za kulisy!»

Mercier nie uniknął tego błędu, w jednym rozdziale pod tytułem: *Panowie Cupis ojciec i syn*, mówi nam że «*P. Cupis* był bardzo małego wzrostu nauczycielem tańca, «bardzo śmiesznym ze swą peruką, kamizelką i suknią atlasową; że nigdy nie mógł «go widzieć dającym lekcyań tańca bez wielkiego śmiechu; że zawsze brała go chęćka «przez głowę mu przeskoczyć; wreszcie «że wieczorem opisywał swym kolegom «Pana Cupis od stóp do głowy; że gdyby «nie on nie byłby opisującym, i że to właśnie zrodziło w nim myśl skreślenia obrazu Paryża.»

Pytam się co to obchodzi czytelnika, który mało się troszczy o wiadomość jaką myślą zpowodowanyś był do napisania

dzieła, który chce tylko aby ono go zaba-
wiała, nauczało albo zajmowało?

Mercier w swym obrazie Paryża mieści
rozdziały nad Versailles, Saind-Cloud, Men-
don, i t. d. it. d. Uważamy że wielkie mia-
sto przedstawia dość przedmiotów oczom,
uwadze, aby była jeszcze potrzeba za jego
obręb wychodzić. Oprócz tego Versailles
nie jest Paryżem; miasto rogatki kończą;
nie wykroczymy więc po za jego obręb.

Wszystko to wszakże nie przeszkadza
życzyć naszemu pismu pomyślności którą
Obraz Paryża Merciera zaszczycony został.

Już w zarysie pod tytułem *Paryż przed
i po obiedzie* skreśliliśmy kilka obrazów,
kilka szczegółów dotyczących zwyczajów
części mieszkańców téj stolicy; tutaj ka-
żdemu z tych przedmiotów osobną część
nadajemy; każdy z nich dostarcza nam
szczególny artykuł niemający związku z tym
który go poprzedził. Nie zachowujemy ża-
dnego porządku w układzie rozdziałów;
pozwolemy pióru przebiegać naprzemian
z przedmiotu komicznego do monumentu
poważnego, z obrazu obyczajów do wspo-
mnień zgrzybiałego wieku. Mniemamy że
ten sposób jest najprostszym i najlepszym
dla poznania tego niezmiernego miasta,
gdzie badacz widzi przechodzące kolejnie
przed swemi oczyma obrazy przyjemności

i cierpienia; magnatów w ekwipażach, a biednych nie śmiejących wyciągnąć rękę, pracowitego wyrobnika spożywającego w jednym dniu zarobek całotygodniowy; i małego sabaudczyka pracującego i zbierającego zarobek dla swéj matki.

Przechodźmy się więc niechcący po Paryżu; nie mamy potrzeby wyszukiwać przedmiotów, same nam w oczy wpadną; zwiździemy wszystkie cyrkuły; wejdziemy do wielu domów, nie kominem, jak w Djable kulawym, ale drzwiami; jest to nie tyle oryginalnym ale więcéj naturalnym.

BUREAU MAMEK.

MASZ nowo-narodzonego; żona twa nie może, lub nie chce go karmić; nie postarałaś się o dobrą mamkę między przyjaciółmi i znajomymi, lub nie spodziewałaś się tak wczesnie dziecięcia; jednakże wpadłeś w kłopot. Udać się możesz do Biura Mamek. Jest ich w Paryżu wiele, jedno w przejściu Industrie; drugie Petites-Ecuries na przedmieściu Saint Denis. — Głównie jest przy ulicy Świętej Apolonii. tu też znajdziemy wielką ich liczbę. Przebiegasz więc ulicę Świętej Apolonii stary

dom, wielkie podwórze gdzie prawie dzień cały mamki kręcą się przeddrzwiami, jedząc jabłka, ciasta lub sér; gdyż mamka wiele musi jadać.

Wchodzisz do biura; udajesz się z prośbą do damy zarządzającej, któraby za pierwszego uszła kommisanta. Nicomieszkasz powiedzieć: »Daj mi pani co dobrego.... pewnego... żebym mógł być bezpiecznym.« Uczyniono ci znak jakby powiedzieć chciało: »Możesz być spokojny;« i dodają: »Czy Pan chcesz koniecznie tutejszo krajowej?«

— Nie.... aby tylko nie była z Lotaryngii, jest szkaradne przysłowie na tej prowincyi mieszkanki... Ach wyrzekłbym się Normandki; dawałaby jabłecznik memu dziecku... to zbyt orzeźwiające. Również nie chcę kobiety z Pikardyi są ograniczone; klucą się aby o co bąć, co szkodzi ich pokarmowi. Mówią że Burgundzkie zbyt są skłonne do męszczyzn.... to jest niebezpiecznie.... Nie chcę Bretanki.... Obawiałbym się kobiety z Szampanii.... Zresztą z kąd rodem to mi wszystko jedno.

W trakcie gdy to mówisz człowiek, młody jeszcze, szkaradny, źle zbudowany, tłusty, mały, i pospolitej postawy, wchodzi do biura, cały zadyszany z twarzą przejętą radością, woła:

Tą razą jest rzecz!.... żona dopiero co po-

rodziła coś niespodzianego!... Ach!... śliczne dziecię! Nie wiem do kogo podobne, na przykład.... ale będziem to później widzieć. Chcę mamki bardzo mocnej, dziecię moje jest ogromne... o gdybym mógł mu dać krowę, byłbym to uczynił... ale środki moje tego mi nie pozwalają. Daj mi Pani tłułą mamkę... z wszystkim co do niej należy.

A zdanie to ostatnie wymawia z gestem odznaczającym, okrążając ręce około piersi, po czem wykrzykuje ze śmiechem: następnie raptem się wstrzymuje, uderza się w czoło, brzuch biodra i woła.

— Ach! u kaduka, czyż ja głupi... Ach, nie zapytałem się... A to doskonale! zapomniałem dowiedzieć się jakiej płci jest me dziecię... nie wiem czy chłopiec czy dziewczę... Akuszerka pokazała mi je mówiąc: — »Panie Troufaguet oto masz rezultat twój małżeńskiej miłości» ja uwielbiałem ucałowałem mój rezultat... Znalazłem mój rezultat wzorowy... powiedziano mi: «biegnij, poszukaj mamki...» pobiegłem jak maszyna parowa, nie myśląc zapytać oto co mnie najbardziej zajmuje... Muszę wrócić.

Chcą wstrzymać P. Troufaguet, mówią, że zawsze może wybrać mamkę dla swego dziecka, że niepotrzebną jest do tego wiadomość o płci, gdyż jedno i drugie ssać będzie musiało.

P. Troufaguet nie zważa nato; odpycha wszystkich, i wychodzi mówiąc:

«Przyjąć mamkę niewiedząc co jój da-
«je... nie tak głupim!... Rozumiesz dobrze
«że jeżeli to chłopiec wybiorę mu mamkę
«mężniejszą... bardziej nerwistą.» Powró-
cę jeszcze.

Zaledwie Pan Troufaguet oddalił się a
widzisz przybywającego wysokiego męż-
czyznę dobrze ubranego, chudego, mającego
włosy rude i długie: z jego mowy i obrotu
poznać sąsiada z za morza.

Anglik postępuje z powagą ku damie u-
trzymującej biuro i doń rzecze:

— Pani biuro, chciałbym natychmiast do-
brego mamki aby zjadła moje dziecko, co
żona uczynić nie mogła.

Odgadują że Anglik żąda mamki dla swe-
go dziecka; cudzoziemca myśli trzeba tłu-
maczyć. Dama kierująca wydaje rozkazy
aby przyszedł jeden szereg mamek.

Anglik znów mówi:

— Pani biuro, chcę ci również powie-
dzieć trzeba aby mamka natychmiast moje
dziecko zjadła.

— Rozumiem; milord chcesz mamki do
siebie.

— Och! ne! ne! nie miejsce... zawsze mamek
idzie z nami... Chcemy ją wszędzie wozić
w pojeździe, albo na wsi wszystko równo.

— To też ja tak mówię milordzie, życzysz sobie mamki do siebie.

— Ale ne.... ja dość mam miejsca; nie zajmę tego dla mamki.

Wreszcie z trudnością przekonali Anglika że go rozumieją. W czasie gdy nad tym pracują przybywa jegomość pięćdziesięcioletni mając z pewnym rodzajem fanfaronady kapelusz nieco na bok, oczy zalotne, i starając dać sobie jeszcze minę uwodziciela staje raptem na środku sali i mówi:

— Jeszcze to ja!... zawsze ja... Ach czegożem z temi dziećmi nie narobił.... Dobrym jestem doświadczyńskim... Prawda że się doskonale znam na mamkach.... skoro tylko przybywa dziecko méj rodzinie, albo mym znajomym dają mi znać, i tu przysyłają. Dzisiaj przychodzę dla méj kuzynki.... kobiety ślicznej!... z którą jestem... w zażyłości, wydała na świat córkę... podobną jak dwie krople wody do kogoś z moich znajomych.

Mówiąc te słowa, przestarzały zwodzieciel uśmiecha się twarzą złośliwą i spogląda na siebie pochlebnie; poczem mówi:

— A więc proszę Pani każ stanąć tu wielu mamkom.... Wszelkiej postaci, różnej tuszy.... uprzedzam że trudny w wyborze będę.... gdyż córka mojej kuzyny mnie obchodzi osobiście.

Atoli już massa wieśniaczek napelniała

salon. Rozmaitego są rodzaju; jednakże gdyby kto chciał zupełnie pięknej, trudnośby w tém znalazł. Zdaje się że w ogólności piękność mamką nie zostanie.

Nie wiesz do której obrócić się, będąc wpośród współubiegających, które aby być wybranemi, starają się przybrać twarz miłą, ajka nie zawsze im przystoi. Wreszcie się pytasz:

— Z jakiego jesteś kraju?

— Z Morvilliers, Panie o półszósty mili od Beauvais.... przyjemna okoliczka panie.... wszyscy są tam zdrowi, Panie.... dzieci jak grzyby tam się rodzą....

— Czym mąż twój się trudni?

— Chodowlem wina się trudni, Panie.... również mamy własną winnicę!.... Ach my nie jesteśmy nieszczęśliwi, jeśli zmuszoną jestem karmić, to dla tego, że bardzo kochamy dzieci, a ponieważ ich siedmioro mamy...

— Ach masz siedmioro dzieci....

— Cóż to wielkiego, spodziewam się że na tym nie koniec; matka moja miała ich piętnaście.

— A wieleż chciałabyś miesięcznie?

— Ośmnaście franków oprócz cukru, kawy i mydła... A potem możesz dodać niejakię drobne przyjemności.... Pan to rozumie że wszystko co nadeslaném będę miała, dziecku oddam... a potem miejscowy le-

karz obowiązany odwiedzać dzieci przez nas karmione....

W czasie gdy rozmawiasz z jedną mamką, inne, rzucają na nią spojrzenie zazdrosne, obawiając się aby nad nie przełożoną nie była, z swęj strony przezierasz wszystkie. Jakkolwiek zdrowie i czystość jest warunkiem, którego przedewszystkiém, od mających karmić dziecko, wymagać winniśmy, nie możemy się obejść iść za naszymi zmysłami, najmilsza odbiera powierzchwie przewagę.

Anglik bada wszystkie mamki stojące przed nim, nie zdaje się być zadowolonym; co chwila kiwa głową i mruży:

— Jednakże nie jest jeszcze tym co chciałem dla karmienia mego wielkiego córeczka.

Z przeciwnęj strony młody człowiek, inaczej działa. Nie rozpatrując się w twarzy mamki, maca jej piersi, chce je widzieć, następnie przechodzi do drugięj z którą toż samo ponawia.

Utrzymująca biuro, zniecierpliwiona tym sposobem wyboru, mówi tonem surowym.

— Mości Panie, szczególny masz sposób szukania mamki.... powszechnie dostatecznym jest patrzeć.... a nie macać tak tych kobiet jak to Pan czynisz.

— A więc moja Pani tamci błędzą, odpowiada uśmiechając się. Czyż myślisz że

kupię kota w worku dla dziecięcia mojej kuzyny.... która mnie tak jest drogą. Macanie jest rzeczą główną moja Pani. Tém bardziej że małeńka obiecuje wielką piękność, a nie chciałbym mamki któraby jej nos spłaszczyła!

— Nos spłaszczyła? a od jakiegoż to czasu mój Pani, mamka może uczynić takim dziecko jej powierzone.

— Zdaje mi się żeś Pani nie czytała Rabelaigo gdyżbyś mnie o to nie pytała!

— Rabelaigo istotnie nie czytałam, a cóż mówi ten Rabelai, o mamkach?

— Mówi on, że gdy mamka ma zbyt ostre piersi, dziecięciu, które ma prawie ciągle twarz natych opartą w końcu nos spłaszczaje, lub do góry się zadrze, gdy tym czasem skoro piersi uginają się, nos łatwo w nie wchodzi nie zmieniając kształtu. Zatém, moja Pani, nie wezmę żadnej z tych kobiet, gdyż piersi zbyt mają twarde.

— Pan jesteś pierwszy który się na to uskarża. Zresztą, uprzedzam Pana że nie pozwolę ci wyszukiwać mamki w tym rodzaju; dostrzegłam że Pan nic więcej nie zrobisz i na żadną się nie zgodzisz. Do widzenia Mości Panie, poznają cię.

Ów tedy młodzieniec przygryza wargi i w piruetach odchodząc mówi:

— Na honor poradzę pięknej mojej ku-

zynce aby sama karmiła.... a zaręczam że maleńka będzie miała nos prosty.

Zaledwie ten jegomość wyszedł, Anglik radośnie woła:

— Oto właśnie co mi było potrzeba! O mamko doskonała! co za śliczne mieć musi pokarm!... to właśnie jest kolor który chciałem ofiarować memu nowo-narodzonemu.

Mówiąc to, spieszy na spotkanie wchodzącej do sali mamki której włosy zupełnie były rudemi. Był to właśnie przedmiot długich jego poszukiwań; bierze ją, natychmiast godzi i z zadowoleniem wprowadza.

P. Troufaguet nieomieszkał powrócić do biura, wołając:

— Mym rezultatem jest chłopak.... jestem o tym najśłodziej przekonany.... prędko tęgą mamkę. Chcę aby mały mój rezultat rośł jak szparag, a skoro będzie w gwardyi narodowej, zostać może grenadyrem.

Przyprowadzają P. Troufaguet wieśniaczkę, tęgiego wzrostu i tuszy, poprzestaje natychmiast na niej, żadnego nie biorąc zapewnienia ani dowiadując się o jej zamieszkaniu, głównym celem jego jest, aby syn miał kolosalnej postaci mamkę.

Bierze ją pod rękę, zachwycony że głową od niego wyższa, wołając ciągle: «Z mam-

«ką takiej postawy, syn mój musi być w gre-
«nadyerach.»

Wy, którzy macie szukać mamkę dla no-
wo-narodzonego przez niebo wam zesłane-
go, rozważajcie długo.... bierzcie informa-
cye, obawiać się powinniście być oszuka-
nymi powierzając wasze dziecię tym najem-
nikom uważającym karmienie za handel,
a dziecię im powierzone za towar na któ-
rym zyskać powinny.

Ale pozory są tak łudzące!... ileż to ra-
zy przedmiot waszych uczuć, nadziei nie
zginął z braku starania, niedbalstwa albo
głupstwa mamek które drogoście zapła-
cili i w których całaście ufność pokładali.
Częstokroć ta jest najlepszą którą nic nie
pozoruje! W tym równie jak i we wszy-
stkim innym, należy ufność położyć w O-
patrzności, i błagać ją o opiekę nad małemi
temi istotami które niewiedzą o swym uro-
dzeniu, a na śmierć zasługiwać jeszcze nie
mogą.



KĄPIEL DOMOWA.

Otóż nowy wynalazek, aczkolwiek mniemają że go już Grecy znali; ale Grecy byli okazalsi od nas; budowali domy z portykami, salony rozległe i dobrze ogrzane, dziedzińce ze studniami i fontannami, musieli posiadać koniecznie salony z kąpielą, nie potrzebowali więc aby przynoszono napełnione wanny do ich mieszkania.

W Paryżu: gdzie niema miejsca aby się zbyt rozszerzać; gdzie zamieszkuje sto dwadzieścia osób a czasem i więcej w jednym domu; gdzie pokój jest długości za-

ledwie dwanaście stóp.... a nie czworograniasty, w którym zmuszony jesteś otwierać okno gdy chcesz wdziać suknię; gdzie jedna izba wystarczyć musi za przedpokój, pokój jadalny, salę i kuchnię; gdzie jedno poddasze starczyć musi czterem lokatorom, gdzie nie jest rzadkiem widzieć jednego rozpalającym ogień w kominie, drugiego trzepiącym suknię, trzeciego czyszczącym buty, a wszystko to dla braku miejsca; zapewne myślicie że sale kąpeli są rzadkie mianowicie między mieszczanami, którzy ledwo znaleźli środek zamienienia sofy na łóżko, ale nie pomyśleli jeszcze o wannie... może to na stąpi.... codziennie coś odkrywamy.

Otóż tedy, którzy nie mają waniem u siebie, muszą udawać się do urządzonych tym końcem mieszkań, gdy im się zechce z potrzeby albo chęci nurzać w wodzie: zakłady te nie są rzadkiemi w Paryżu; prawie w każdym cyrkule znaleźć je można; a cyrkuły wielkie, ulice tak długie; często taka niepogoda, a gdy nie masz się dobrze, gdy zdrowie twe wymaga wzięść kąpiel, iść do niej nie zawsze jesteś w stanie.

Obecnie żadnej z tych przykrości nie doznasz, przynoszą ci kąpiel do mieszkania; czy mieszkałbyś na czwartym, na piątym piętrze, choćby i na dachu, kąpiel tam ci

przyniosą, nie odstrasza przedsiębiorców; zresztą kąpiel w mieszkaniu jest zupełnie filantropiczną. Potrzebujesz tylko iść do zakładu, dać adres, wskazać godzinę w której życzysz się kąpać, powtórzyć oddalając się: «Niech będzie gorącą!» a oczekiwanie spełnione.

Istotnie tak jak każda najdokładniejsza rzecz ma zawsze stronę niedogodną, kąpiel domowa również kilku małym nieprzyjemnościom ulega. Naprzykład oczekujesz na nią; częstokroć do jedenastej jeszcze nie nadeszła.... to ci tym bardziej przykro że głód zaczyna dokuczać a nie można myśleć o jedzeniu nie będąc jeszcze w wodzie.

Wreszcie kołatają do drzwi: kąpiel przybywa; jesteś w uniesieniu radości, mówisz do lokaja: każ przynieść wannę do pokoju sypialnego.... Ludzie przynoszący narobią ci nieporządku, zbyt są nieczręelni.

Chałas podkutego żelazem obuwia ogłasza ich przybycie; nogi ich zostawiają ślady na posadzce, ale nie możesz wymagać aby wyrobnicy chodzili w lakierowanych trzewikach.

Brzęk, brzęk!... chałas ten wychodzi z pokoju poprzedzającym sypialnią. «Ach mój ty Boże! cóż to znaczy?» pytasz podnosząc się z łóżka.

Gruby głos odpowiada:

— To nic!... to nic!... kilka małych filiżanek! Ba to się sprzątnie i śladu nie będzie... kilka talerzy! nic więcej!

Twoja sługa wchodząca do pokoju mówi ci litościwie :

— Ach mój Boże, moja Pani! przynoszący kąpiel tręcili wanną o stolik i zrzucili dwie filiżanki.

W tej chwili ludzie ci wchodzą do twój sypialni: jeden z nich nadeptuje kota, który ucieka miaucząc.

— To nic! to nic! mówi jeden z nich. Raz przygniotłem kota o drzwi tak że łba nie rozróżnionoby od ogona, jeszcze w tym stanie żył sześć tygodni; koty mają trwałe życie.

A następnie z wanną idą ku oknu.

Nieco ciężko odpychając małą sofkę i nie patrząc z tyłu, ludzie ci trącają o bardzo piękny postument który podobało ci się ozdobić małemi drobiazgami w modzie, bardzo wiele w Paryżu kosztującemi.

Postument Dantona, przedstawiający najpiękniejszy ustęp jego życia, upadł w skutek tego pchnięcia i zgruchotał się na posadzce.

— To nic! to nic! mówią ci ludzie! to mała figurka z gipsu.... jakże ich pełno na bulwarach.... są tam w każdym czasie, widziałem dopiero na ulicy człowieka który niósł

ich pełno.... daleko większych!... kolorowanych po wierzchu! nierównie piękniejszych!

Ludzie ci idą po wodę:

— Starajcie się nie wylać wody w mieszkaniu, mówisz im, miejcie baczość, proszę was.... chodźcie wolno.

— Bądź pani spokojna, niema żadnego niebezpieczeństwa.

Nie obrócili jak trzy razy do pokoju sypialnego, a już masz w całym mieszkaniu jezioro wody, ładny strumyk w którym mógłbyś mieć przyjemność ryby łowić.

— Mój ty Boże.... ile to wody na ziemi.

— To nic! to nic, mówią. Moja Pani nie można ustrzedz się rozlać kropelki.... ale to ścierką wytrzeć można, potem to nie brudne, przeciwnie, to jest z korzyścią, to oczyszcza mieszkanie.

Patrzysz na swą sługę wzdychając, a ta mówi ci dla pocieszenia.

— Ach Pani, gdybyś widziała w salonie!... tam jeszcze gorzej.... możnaby czołnem pływać!

Wreszcie wanna jest pełna, a ty sobie mówisz:

— Zapomnijmy wszystkie te wypadki... przynajmniej wykąpię się u siebie... w moim pokoju... zupełnie wygodnie.

Wychodzisz z łóżka i wchodzisz do wan-

ny. Ale za ledwie jesteś w wodzie a wołasz swą sługę krzycząc:

— Parzę się kąpiel ta zbyt jest gorącą!... Zimnej wody... prędko zimnej wody!

Sługa przybiega. W czasie gdy ona się kręci; niemogąc zostać w wannie w której się parzysz, stajesz, ale parzysz nogi a ciało ziębnie.

Wreszcie służąca przybiega niosąc pół karafki wody którą wylewa w wannę, gdzie tyle to wywarło skutku ile kropla soli w studni.

Postanawiasz wyjść z kąpeli, drżysz, możesz dostać kataru, nimby wodę przyrzadzono jak należy.

Na pół obtarty co prędzej wchodzisz do łóżka, gdzie starasz się wysuszyć, mówiąc:

— To nie pół karafki wody zimnej trzeba abym mogła wziąć kąpiel.... należy na przód wylać wodę. Weście ceber, wielką konwię.... ach mój Boże! wylejcie wodę na ziemię.... mniej lub więcej!.... to już nic nie znaczy.

Służąca wypełnia twe rozkazy, przynosi naczynia różnej wielkości; nie wymienię wszystkich które brała w gorliwości prędkiego wylewania gorącej wody; wszystko to płuskawicę robi i kaskadę tworzy, mieszkanie twe stało się sadzawką w której mo-

żnaby wykonać grę hydrauliczną najbardziej urozmaiconą.

Wychodzisz powtórnie z łóżka, brnąć aż do wanny, wstępujesz w nią niemając mi-ny zadowolenienia.

— Czyż to pani jeszcze zbyt ma gorącą?... pyta służąca.

— Zbyt gorącą!... wcale nie! owszem, zda mi się że zbyt zimną..., za wiele gorącej wody wyleliście. Nie chcę dostać kataru.... koniecznie trzeba ogrzać mą kąpiel.... widzisz że drzę.... każ zagrzać wodę... Musisz mieć ogień w kuchni.

— Ach nie moja pani.... zagasił się gdym wylewała z wanny.

— Więc rozpal go.... Spiesz się!

Sługa, przynosi węgle i drzazgi, mrużąc:

— Jakkolwiek bądź pani... jesteś zadowolona że bierzesz kąpiel u siebie w mieszkaniu.... Jednakże.... ogrzewać wodę, zdaje mi się że nie wewszystkim jest dogodnie?

Nic nie odpowiadasz, zbyt jesteś zrażoną i chciałabyś zmyć głowę swęj służącej, jak myjesz swe ciało, to jest sposobem nieprzyjemnym.

Po pięciu minutowém dmuchaniu, służąca powraca z kuchni z naczyniem pełnym wody wrzącej; bieży do wanny wołając:

— Zatrzymaj się, Pani.... oto jest gorąca, to ci wielką uczyni przyjemność!

A nim zdołałaś usunąć się i polecieć jój baczność, wylewa całe naczynie na twe plecy.

Ból wyrwał z ust twych krzyk.

— Czy jeszcze zimna? pyta służąca.

— Ach! przeciwnie, oparzyłaś mi plecy...

— Jednakże uczyniłam, co mi Pani kazała.... jeszcze przystawię do ognia.

— Nie potrzeba... mam tego dosyć... daj mi bieliznę do obtarcia, wyjdę z kąpieli....

Wychodzisz z kąpieli, obcierasz się zimnemi ręcznikami, i kładziesz się w łóżko, postanawiając sobie jak kruk ten w bajce, że więcej cię nie złapią.

Wszystkie te drobne nieprzyjemności nie stawiają tamy kąpielom domowym, aby nie były użyteczne i dogodne, i nie były w Paryżu wzięte. Nie wszyscy usługiwacze tak są jak opisani niezręcznemi; a nim wejdziecie w wannę, powinniście być przezornemi i zapewnić się czy kąpiel jest w tym stopniu gorącą, który mieć chcecie.

Wskazawszy niedogodności należy przejrzeć wygody.

Otóż tedy kazawszy przynieść kąpiel do siebie, możecie przeznaczyć na salę do kąpieli jeden pokój w którym jest wam najdogodniej zostawać.

Damy kąpią się w buduarze, a wlewają w wannę perfumy i inne zapach miły cia-

łu nadające wonie, czytają romanse autora ulubionego.

Należy tylko mocno bawiące przedmioty czytać, gdyż inaczej możnaby zasnąć w kąpieli co jest bardzo niebezpiecznym.

Człowiek naukowy każe przynieść wannę do swego gabinetu, postawić ją przy biurku; pisze lub czyta kąpiąc się, a woda odświeżając jego wyobrażenia czyni styl płynniejszym i przyjemniejszym.

W Paryżu, gdzie wszystko dąży do śmiechu, gdzie umieją z przedmiotów najpoważniejszych żartować, drwić, dla rozrywki i kąpiel domową to spotkało:

Piękna Gryzетка, zalotna, zręczna ale mściwa, najęła pokoiik w dość pięknym domu przy ulicy Świętego Jakuba.

Właściciel tego domu stary gdyra, podejrzliwy i jak najśmieszniejszy (w Paryżu tacy są właściciele domów), nie omieszkał zawsze dowiadywać się o osobach które wynajmowały u niego mieszkania.

Nie zmieniając zwyczaju swego idzie podług zostawionego przez Gryzетkę adresu, i nie zastawszy odzwiernego wypytuje przekupki o Pannę Anastazyą.

Odpowiedzi zapewniają że Panna Anastazyja jest chawtarką z talentem; lubi się śmiać, spiewać; przyjmuje chętnie ze wszystkich stron studentów młodych, albo ad-

wokatów przysłuchujących się dopiero, ale panowie ci przed północą odchodzą, a Panna Anastazyja może zawsze płacić regularnie masłem lub syrem które jej przysyłają z domu.

Właściciel dość jest zadowolony; jednakże dla większej pewności chce widzieć ruchomości młodej dziewczyny, idzie do jej mieszkania.

— Na czwartym piętrze po nad dwoma antrsolami mieszka, mówi przekupka. Skurka sarnia na sznurku przy dzwonku... schody są tak czyste jak ja i Wacpan.

Nasz Jegomość idzie aż na piąte piętro; widząc czyste schody mówi do siebie:

— Domek ten zdający się przez rzemieślników zamieszkałym, wcale nie źle jest utrzymany....

Przechodząc ostatnie piętro, gospodarz przestał być zadowolonym: zaczyna naprzód dostrzegać wodę w niektórych miejscach; a potem i na całych schodach. Przybywszy na próg ostatniego piętra, musi przebyć strumień nim się do drzwi Panny Anastazyji dostanie, gdyż tu on bierze początek i spływa po schodach.

Drzwi na pół były uchylone. Gryzетка która słyszała wchodzącego, wdziała na siebie małą kryspinę i kołnierzyk: mile się skłania gospodarzowi, ale ten który już

sprzecznie postanowił uczynić, odpowiada na to opryskliwym gestem.

— Racz Pan wejść, mówi Anastazyja ze-chcesz chwilkę spocząć.

— Nie potrzeba, odpowiada sucho nasz stary Jegomość, gdyż tylko dwa słowa mam do powiedzenia.... przyszedłem pożegnać nie możesz Panna mieszkać w mym domu.

— A to dla czego? zawoła młoda dziewczyna; spodziewam się że powzięte o mnie wiadomości nie mogą być niekorzystnymi... obyczaje moje są nieskazitelne.... chodzę na widowiska tylko do *Babino*, tańczę tylko w *Prado*; stołuję się u *Flicotota*.... co do mych ruchomości racz Pan wejść a przekonasz się że mogłabym niemi dziesięć rat za twój pokój opłacić.

— Mościa panno zebrane wiadomości nie mogą w ciczém ci szkodzić.... widzę że dostateczne masz meble.... ale powtarzam że nie możesz Panna mieszkać w moim domu.

— Ale cóż to mój Panie ma znaczyć? pragnę, żądam, domagam się wytłómaczenia.... Dać komu taką odprawę jest efronteryą, a niemam cierpliwości znosić choćby najmniejszą obelgę.

— Ponieważ żądasz wiedzieć przyczynę mego postanowienia, więc mówię ci moja Panno: twój korytarz jest wodą zlany tak iż nie ma nogą gdzie stąpić; że woda ta

wyływa od panny.... a ja nie chcę abyś takie nieczystości w mym zaprowadziła domu. Woda przesiąka przez podłogę a potem i sufit.... a następnie psuje, niszczy dom, co chwila reperacye należy przedsiębrać, dla tego że ma się lokatorów małe strumyki u siebie robiących.... Nie chcę.... wolałbym stracić dwie raty.

— Mój Boże! za trochę wody na ziemi tyle słów usłyszyć.... Kąpiel brałam u siebie.... Lubię się kąpać, żyłabym w wodzie... Czytam, jem, śpię w niej.... Nie wiem czy jest co, abym w wannie nie uczyniła!... Nie jest zabronione kąpać się u siebie. Nosiwo dy rozleli nieco na posadzkę, widzisz Pan że nie jest w tym moja wina.

— Przykro mi, mościa Panno, ale ponieważ tak lubisz wodę, obawiam się abyś zbyt często nie kąpała się w domu, nie mogę lokalu Pannie wynająć.

— A więc mój Panie, czyż nigdy nie kąpiesz się u siebie... czyż twoi lokatorowie również są tego pozbawieni?

— Nie, mościa Panno; ale gdy sprowadzają do mnie kąpiel, albo do mego domu, mają się na baczności.... wiele dają baczności.... Nieoblewają schodów.

— Czyż to jest stanowczém, mój Panie?

— Jak jestem Triffouillardem, mościa Panno. Mam honor cię pożegnać.

Wtedy gospodarz schodzi ze schodów, a młoda dziewczyna oparłszy się o poręcz woła:

— Panie Triffouillard, jesteś starym kwaśnym zgotowanym jabłkiem, będziesz miał odemnie nowości!

Panna Anastazyja dziewczyna do rzeczy, przechodzi się w pokoju szukając sposobu zemsty; nie znajdując żadnego, siada, pociera sobie czoło, bierze się za nos, za ucho, raptem zrywa się z krzesła; i woła:

— Tak.... tak.... trafiłam.... Ach! to będzie cudowne przepyszne!....

Młoda dziewczyna idzie w ulicę sąsiednią, woła pierwszego kommissionera każe mu iść za sobą, dąży do najbliższego zakładu łazienek domowych. Zatrzymuje się o kilka kroków przed wnijsciem, daje kommissionierowi adres najdokładniejszy Pana Triffouillard właściciela domu przy ulicy Sgo Jakuba i mówi:

— Idź zadysponuj; dla tego Pana kąpiel na siódmą godzinę rano.

Kommissioner powraca wkrótce mówiąc że kąpiel jest już zadysponowaną.

Anastazyja bieży staje przed innym zakładem kąpeli domowych. Również posyła kommissioniera mówiąc:

— Zadysponuj dla P. Triffouillard kąpiel na jutro siódmą godzinę rano, daj adres....

Kommissionier zaczyna się śmiać i czyni co polecono.

Panna Anastazyja idzie dalej z kommissionierem; też same daje rozporządzenia w sześciu zakładach kąpieli domowych, poczem daje mu dwa franki, odsyła go, sama zaś powraca do siebie zadowolona jakby kochanek zaprosił ją na obiad do restauratora.

Nazajutrz o siódméj rano, kołatają do drzwi P. Triffouillard, który wcale nie ma zwyczaju tak w czas się przebudzać. Stara jego służąca powraca wkrótce mówiąc:

— Kąpiel którąś Pan zadysponował, teraz przywożą.... gdybyś mnie uprzedził że ją wezmiesz rano byłabym od dawna wstała, wszystko przyrzadziła!... ale Pan mi nigdy nic nie mówisz.

P. Triffouillard przeciera sobie oczy wołając:

— Nie obstalowałem kąpieli.... ludzie ci się mylą: niech mi spać dadzą.

Służąca powraca wkrótce mówiąc:

— Oni mają pańskie nazwisko, adres.... do Pana przychodzą.... niechcą odejść.

— A więc rzecz P. Triffouillard z gniewem, więc ją wezmę chociaż to jest niezawodnie quiproquo, kaź ją przynieść ostrożnie....

Przynoszą kąpiel, w czasie gdy umieszcza-

ją wannę w pokoju sypialnym, powtórnie kołatają do drzwi. Służąca idzie i powraca zdziwiona mówiąc:

— Do licha! obawiałeś się Pan aby nie zabrakło kąpeli; oto drugą przynoszą.

— Cóż to, to za wiele! woła stary gospodarz wyskakując z łóżka. Dwie kąpiele gdyś żadnej nie chciał... odesłać ich, téj także nie wezmę!

Nim jeszcze P. Triffouillard skończył mówić, dzwonią gwałtownie, służąca bieży, powraca prawie w płaczu mówiąc:

— Panie!... Panie! trzecią kąpiel Panu przynoszą!... ludzie ci zalewają korytarz.

— Trzy kąpiele! wykrzyknie P. Triffouillard, zrywając z głowy wełnianą szlafmycę, to zbyt szkaradny żart... a cóż u djabła chcesz abym z trzech kąpeli robił! odpraw ich.

— Łatwo to jest Panu mówić: ale ci struże nie chcą słuchać; każdy z nich chce abyś Pan jego wziął kąpiel...

— Niech idą do djabła i niech mi dadzą pokój... Ale co to za chałas na dziedzińcu.

Służąca spieszy zobaczyć, powraca wkrótce z twarzą zdesperowaną i rzucając się na krzesło woła:

— Panie!... Panie! jeszcze trzy kąpiele jednocześnie nadeszły... dziedziniec napel-niony wozami, beczkami... sąsiedzi kręcą

się pytając, czy ogień pokazał się w naszym domu, a głupi odzwierny woła co chwila:

«Jegomość musi coś mieć na skórze że jest «zmuszony tego rana wziąć sześć kąpieli «jedna po drugiej!»

P. Triffouillard wścieka się, nie wie co ma począć; chce aby wszystkich nosiwodów wypędzono; ale ci zaczynają wypełniać swe polecenie, lecą na wyścigi na schody jeden za drugim; łatwo sobie wystawić jak dom został zalany.

P. Triffouillard płaci sześć kąpieli których nie zamawiał, a patrząc z boleścią na strumienie wody na schodach i korytarzu; przypomina sobie wizytę wczorajszą u panny Anastazyi, odgaduje że Gryzетка figiel mu ten spletała i mówi sobie:

«Bylbym dobrze zrobił nie dając jej odprawy!»



MAGAZYN KWIATÓW

DAWNIÉJ handlujące bukietai chodziły po mieście z zasobem kwiatów, które ofiarowały przechodzącym.

Gdy handlująca piękną była, oczy jéj tyle pociągały ile kwiaty; wszystko wiąże się w życiu i jedno często nasuwa drugie.

Później lepiej zaopatrzone rozkładały kwiaty na rogach ulic i bulwarów; jak to i dziś ma miejsce. Prócz tego mamy jeszcze ładne magazyny kwiatów naturalnych.

Mieliśmy już, to prawda w pałacu królewskim, z tyłu teatru francuzkiego, zakład

sławnej Panny Prevot, który tworzy dzisiaj pewien rodzaj magazynu, mówimy pewien rodzaj, gdyż jego rozległość tak jest małą że zaledwie trzy osoby mogą w jednym czasie kupować; ale zakład ten bardzo korzystnie znany, zbyt wielu ma amatorów aby potrzebował nowych.

Magazyny kwiatów są bardzo pięknie w dzień ozdobione i przepyszne w wieczór; światło gazowe daje kwiatom blask prawie magiczny.

Wiemy że nie ma nic piękniejszego nad ogród oświecony, łatwo więc wystawić sobie można czem jest magazyn z kwiatów naturalnych oświetlonych gazem.

Głównie odznaczają się nowe magazyny kwiatów przy ulicach: *Neuve-Vivienne*, *przechodzie Panoramy*, i ulicy *Sgo Honoryusza*. Nie potrzebuję mówić że właścicielki magazynów nic nie mają wspólnego z handlarkami kwiatów; które po ulicach przechodząc się, sprzedają. Te ostatnie powszechnie są ubrane w czepek i skromną chustkę kolorową co ich do kwiatów które noszą, czyni podobnemi; właścicielka zaś magazynu ubraną jest ładnie jak modniarka, biało jak praczka, mówi z tak dobrym gustem jak ta która perfumy sprzedaje.

Zmiana ubiorów kobiet handlujących

kwiatami konieczną była dla nowych zakładów. Jeśli w Paryżu wielki jest odbył bukietów, to takowy czynią mefresy, artystki, lwy, dandy.

Nie dostrzeżesz rzemieślnika, Gryzетки, wieśnaka w magazynie kwiatów; ci udadzą się do przekupek na otwartem powietrzu, gdy przyjdzie im chęć kupienia kwiatów.

Bo oni pewnie nie chcą eleganckiego kaktusa ani wykwintnej róży; potrzeba im bukietu dużego napchanego, zabierającego wiele miejsca, któryby widzieć z daleka można.

W magazynie kwiatów spotkasz młodzież bardzo elegancką, członków klubu Jockeyów, rękawiczki paliowe, dalej damy całe perfumowane, waporujące, których pleć zbladła w skutek częstego używania kwiatów....

Ale w ogólności mężczyźni kupują więcej bukietów od kobiet, co bardzo jest prostem: damy wiedzą że panowie ci, dla nich je kupują.

Nie znamy użycia kwiatów takiego jak na wschodzie, jednakże chociaż nie umiemy zrobić *selamu*, wiemy bardzo dobrze co znaczy posłanie damie bukietu.

Zawsze to znaczy że mężczyźnia daje damie poznać iż jest przejęty jej wdziękami. Jeżeli nie dostąpiło się łask bliższych damy, a obawa jest aby nie być nierozsądnym, posyła się bukiet bezimiennie. Damy powsze-

cznie nie odrzucają tego rodzaju darów; uważają że bukiet nic za sobą nie pociąga... a bardzo rzadkiem jest aby nie miał właściwych sobie następstw.

Bukietem to oświadcza się aktorce, tancerce, przyjemność którą talent jój wzbudza. Często kwiaty lecą z wszystkich stron teatru do nóg téj którą się uwielbia.... Deszcz kwiatów miło jest przyjęty; aktorki uwielbiają tego rodzaju burzę.

Ale w Paryżu gdzie z wszystkiego korzystają, utworzyły się też przedsiębiorcy rzucania w teatrze kwiatów.

Itak: gdy aktorka chce uzyskać tryumf jak jój koleżanka, którą uważa niższą od siebie w talencie; jeśli nie ma protektora, dobroczyńcy dość zamożnego, aby ją kazał obsypać kwiatami; decyduje się własnym kosztem to uczynić. Jest to mały wydatek który można raz podjąć niechęcący.

Aktorka posyła swą matkę do antreprenera bukietów: aktorka mieć zawsze powinna matkę.... Gdy jój nie ma, to ją najmuje, to jest że nadaje tytuł matki staréj kobiecie która przyrzeka wypełniać obowiązki za co dostaje mieszkanie, żywność, i wszystkie małe przyjemności!....

Matka więc aktorki idzie do antreprenera i mówi mu:

— Córka moja śliczną jest w ostatniej ro-

li którą mieć będzie, zagasi wszystko co tylko dotąd najpiękniejszym widziano w teatrze.... To jest zachwycającym.... ale publiczność tak jest niesprawiedliwą! Gdy jej nie krzyczą do uszów że ma talent aktorka; mogą upłynąć i lata nie będąc dostrzeżoną.... Mogą ją nawet wygwizdać! Panna X...., która gra jak wieszczka ma być kwiatami zasypiana! wiadomo z kąd to pochodzi! adwokat traci dla niej czas i pieniądze!... Wreszcie wszystko jedno moja córka zostać w tyle nie może. Chcę jej zrobić przyjemność z deszczu kwiatów.... dziś wieczór po trzecim akcie.... cóż to kosztować mię będzie?

— A chcesz Pani wiele?

— Ba! chcę aby tego było dosyć.... żeby to ze wszystkich stron teatru leciało.... mianowicie z parteru.... to jest w dobrym guście i dokuczy innym.

— Trzeba przynajmniej trzydziestu bukieatów....

— Niech będzie trzydzieści bukieatów! moja córka zasługuje na trzy tysiące, ale trzydzieści będzie dosyć. Ileż to ma kosztować?

— Pięćdziesiąt franków.

— Pfe! to deszcz za drogi: najdrożej trzydzieści sou jeden bukieat.

— Kwiaty są drogie. Oprócz tego czyż to nie muszę opłacić ludzi których używam, ale bukiety będą piękne.

— Byle w nich nie było głabów kapuścianych jak to spotkało Pannę Z.... która jednym w oko dostała i za ledwie nie oślepla... Był to koncept małego Titi.

— Bądź pani spokojna bukiety będą piękne i dobrze ubrane.

— Dobrze.... Dam pięćdziesiąt franków, oszczędzę je na czem innym. Oszczędzę co dzień sou, na kupnie wątroby dla mego kota. Niegodziwiec ten niszczy nas co dzień tą wątrobą. Trzydzieści więc bukietów, rozumie się dobrze będą rzucone. Wreszcie Pańscy ludzie są pewnie do tego przyzwyczajeni.

— Będiesz Pani zupełnie zadowolona.

— Spodziewam się! Gdybym ieszcze za pięćdziesiąt franków nie była zadowolona! Wielki Boże! Mogłabym sobie za to kupić dwa pasztety z tłustej wątroby. Wreszcie jeśli to wyniesie mą córkę, pięćdziesiąt franków będą niczym.

Antreprenier każe sobie naprzód płacić; to jest ostrożność zawsze potrzebna. Matka aktorki powraca zawiadamiając córkę że wieczorem będzie miała tryumf. Czekają niecierpliwie tej chwili.

Nadchodzi wreszcie: grają sztukę; aktorka źle występowała, ale to jest obojętnem dla antreprenera: kazał bukiety rzucić; spadają z różnych punktów teatru, ale szcze-

gólnie z paradysu, do nóg albo na nos aktorki; ta się skłania z twarzą pomieszana; publiczność się śmieje, zasłona spuszcza a inne aktorki zazdroszczą.

Nieszczęściem, matka téj którą tryumf spotkał, zniszczyła wkrótce cały urok: przybywa do teatru z ogromnym koszem, jakby dla zebrania bukietów rzuconych córce, a właściwie dla ich porachowania i zapewnienia się czyli tryumf za całe pięćdziesiąt franków córkę spotkał.

Po zebraniu wszystkiego co tylko było na scenie bieży do wszystkich kątów, kulisów... nawet do suflera komórki; tupie nogami ze złości; wreszcie nie mogąc wytrzymać, woła:

— Jestem okradzioną!... Niegodziwiec, zadysponowałam trzydzieści bukietów znajduję ich dwadzieścia cztery.... Brak mi jest sześciu!... ale to tak nie ujdzie!!

Można sobie łatwo wystawić jaki śmiech to wzbudziło między aktorkami, i jak wtedy one szydą z deszczu kwiatów którym koleżanka obsypaną została.

Ale te które z tego najbardziej żartowały nie będą się wstydziły również sobie sprowadzić tym sposobem kwiaty, tylko już zalecą matce aby ich nie rachowała po otrzymanym tryumfie.

Nie zawsze deszcz z kwiatów jest tak zadysponowany; ten który następuje powsze-

chnie, i przez istotną publiczność, czyni ładny dla oka widok. Wtedy wszystkie damy ogalają się z bukietów i rzucają je z entuzjazmem na scenę.

Trzeba bowiem wiedzieć że damy nasze nie mogą iść do teatru bez bukietu; również potrzebują go idąc na wieczór, na koncert, a nieodzownym jest on gdy idą na bale.

Damy w Paryżu wielki czynią odbyt handlującym bukietami, a co jest szczególnego, to że same kupują ich mało, a mężowienigdy.



DRZEWO OPALOWE

Wy którzy z przyjemnością ogrzewacie nogi przy dobrym ogniu, rozłożeni wygodnie na fotelu a la Voltaire; dobrzy mieszczanie, kommissanci, handlujacy, urzędnicy, dzierżawcy; wy wreszcie wszyscy którzy nie tak znaczny macie majątek aby upoważnić waszego intendenta albo sługę do załatwienia domowych czynności, macie.... tém bardziej jeszcze, skrzętnę małżonkę, która sama się zajmuje wszystkimi szczegółami gospodarstwa w swych czynnościach, wy którym miejsce, zajęcie, obowiązki codzienne

nie pozwalają zajmować się zaspokajaniem domowych potrzeb, wy, nawet nie macie wyobrażenia o wszystkich przykrościach które znieść trzeba było kupując to drzewo którym ogrzewacie się mile.

Są prawie we wszystkich cyrkułach Paryża składy drzewa, są także i w środku miasta.

Nie zbyt dawno wyspa Louvrier napelnioną była stosami drzewa; składy téj wyspy były najwziętsze w stolicy; wielka część mieszkańców Paryża robiła wycieczki na tę wyspę, sądząc że dostaną tam drzewo lepsze i po niższej jak w składach Paryża cenie.

Ale wyspa Louvrier podległa prawom czasowym: zmieniła właściciela, postać, kształt; zapełniają mały strumyk Mail aby złączyć wyspę Louvrier z stałym lądem, budują domy, nowy powstaje cyrkuł, tam, gdzie niegdyś były składy drzewa.... nie ma potrzeby mówić że przeprowadzono je gdzie indziej.... Może inne przybędą.... To jest właśnie czego nie wiemy.

Ale wejdźmy do składu pięknego z pozoru... pierwszego napotkanego... Nie będziemy mieli trudności w wyborze.

Otóż małeńka dama chcąca zaopatrzyć się w drzewo, sądzi że nic nie ma prostszego, wybrawszy i zgodziwszy się, jak wy-

mierzyć trzy albo cztery stosy drzewa które kupiła. Chwilkę cierpliwości: zobaczymy co z tego będzie.

Miara do drzewa jest przystawiona, drwal przychodzi, dama mówi mu:

— Zmierz mi dobrze, dam ci na piwo.

Ten odpowiada: «Bądź Pani spokojna!»

Począł drwal bierze się do roboty, porywa szczapy, kładzie je na miarze z żywością trudną do opisania, a jakkolwiek miał oszczędzać damę, mięsza szczapy które tworzą tak zwane *pokoiki do najęcia*.

Dama która to widzi chce przybliżyć się do drwala.... W tym straszny chałas!... rozległ się w jej uszach.... szczapy spadają z ogromnej wysokości.... Dama pomieszana hukiem obawia się aby szczapy na nią nie spadły, drwale bowiem niekiedy udają jak gdyby naumyślnie rzucić na nią je chcieli. Tymczasem gdy się obraca i oddala od szyci i szczap które lecą, drwal obojętnie dala swą czynność prowadzi dobierając szczap najnieforemniejszych.

Dama, spostrzegając to powtórnie zbliża się i mówi: «Weź tę szczapę, ztąd.... ja jej nie chcę.»

Ale otóż nadjeżdża wóz naładowany drzewem, Dama umyka na stronę, chce się zbliżyć do swego drzewa; chroni się w drugą stronę, przybliża się do swego drwala, ale

przeklęty wóz ani chwili nie jest spokojny; na umyślnie go woźnica posuwa, cofa, oddala konia, krzyczy, tak dalece że niepodobna jest osobie kupującej patrzeć na drwala.

Niegodziwy ten sposób obchodzenia zbyt często się powtarza aby go każdy już nie znał.

Stawiano dawniej w takich zakładach dozorców. Czynnością ich było zapewnić się że kupujący otrzymuje sprawiedliwość i zapobiedz nadużyciom któreśmy skreślili. Ale tych dozorców nie ma więcej.... Niezawodnie dozór ich był daremny.

Teraz gdyś poznał te obroty, idąc do składu drzewa, uzbrój się w odwagę, nie zważaj na lecące szczapy, nadjeżdżające wozy brykające konie, a jeśli ci drzewo źle ładują to go nie przyjmuj.

W każdym magazynie masz prawo nie przyjąć towaru, jeżeli znajdziesz że go źle ważą. Dla czegoż tak samo nie masz zrobić z drzewem jak z cukrem... kawą albo ryżem?

Drzewo jest również towarem. W wielu miejscach sprzedają go na wagę; ale nowy ten wynalazek nie może znieść zwyczaju mierzenia. Przyczyny łatwo domyśleć się można.

LATARNIE.

Co dzień więcej gaz zastępuje latarnie, zajmuje place, ulice, bulwary które niegdyś oświetlały latarnie, a raczej oświećlać miały, gdyż w istocie nigdy latarnie nie rozlewały światła żywego i mocnego; płomień ich migający często był niszczoney wiatrem, który zdołał się wkradać szparami między świecznik źle szkłem obwiedziony; pod latarniami, światło różowe zasepiało przedmioty, niepozwalając dobrze ich rozróżniać; o kilka kroków cień więcej był gęsty, jeszcze bardziej ociemniający.

Oliwa pomalu wyszła z użytku. Latarnia nieszluzę już za schadzke pojedynkujących się jak to niegdyś miało miejsce pod Ludwikiem XVI, gdy dwóch szlachciców pokłóciwszy się na komedyi, wyszli zakończyć swą kłutnię w ulicy sąsiedniej przy świetle latarni.

Sięgając dalszych czasów znajdziemy tylko latarnie na głównych ulicach miasta, w cyrkulach sąsiednich pobytowi dworu; reszta Paryża zostawała w ciemności, wtedy też było nierozsądnem wychodzić bez latarni.

Na początku XVI wieku dla zakończenia licznych rozbojów zachodzących w Paryżu, Policya nakazała właścicielom domów stawiać przed domami latarnie.

Panu de la Reynie porucznikowi załogi Paryża winniśmy zaprowadzenie latarni. Z początku mieściły one świece.... Oliwa później nastąpiła.

Prawdziwe latarnie wynalazł Xiądz *Matherot de Pregnej* i *Bourgevis de Châteaublanc*. Około roku 1774 zaczęto używać w Paryżu tego sposobu oświecania.

Zapalający latarnie jest odrębną istotą, tém odrębniejszą, iż będąc od stóp do głowy przesiąknięty olejem, mało znajduje amatorów coby mu towarzystwo trzymać chcieli. Zwyczaj jest to człowiek wzrostu niskie-

go, którego, wieku nie możnaby odgadnąć z twarzy olejem okrytej: zdaje się mieć od trzydziestu do sześćdziesiąt lat; ubiór jego nie ma koloru; wełniane jego spodnie; kamizelka zdaje się z grubego być sukna; ma również mały fartuch przywiązany z tyłu; wszystko to tak jest stłuszczone, że uciekają od niego jeszcze prędzej, jak od kominarza albo mularza.

Zresztą zapalający latarnię robi swą czynność bardzo spokojnie, nie zajmując się tym co się w okóło niego dzieje; nie zważa nawet na pojazdy, które muszą go stronić, gdy stoi na środku ulicy w czasie wypełnienia swego obowiązku.

Biedny człowiek! cóż się z nim zrobi skoro gaz wygna ze wszystkiém latarnię?

Otóż wszystko co błyszczący na tym świecie tymczasowe ma tylko panowanie.

Swiecę wypędził olej; olej przez gaz wypędzony został....

Sie transit gloria mundi!

TROTOARY.

WRESZCIE trotoary wchodzą w użycie, niezawodnie wszystkie ulice Paryża będą je miały; dziś wiele już jest w nie zaopatrzonych. Na ulicach nowych i szerokich, trotoary są szerokie, piękne, na wązkich trotoary muszą być takimi, gdyż należy choć dla dwóch pojazdów które co chwila mogą się omijać, miejsce zostawić.

Na niektórych ulicach, trotoary w niektórych tylko miejscach można widzieć... idzie się po nich dziesięć kroków, i znowu na bruk się wstępuje, potem spostrzega się

jeszcze kawałek trotoaru, i tak następnie: to czyni nadzieję iż ulepszenie zaprowadzonym będzie, zupełnie i wszędzie.

Ganiono trotoary gdyż często zbyt są wąskie; ale przyczyną tego jest sama ulica; a jak powiedzieliśmy wyżej, trzeba nieco zostawić miejsca na przejazd.

To jednakże możnaby w nich ganić, że nie dość są podniesione; nie raz widzieliśmy jak woźnica chcąc wyprzedzić współ-zawodnika występuje z drogi oznaczonej i przez kilka sekund po trotoarze jedzie. Wtedy nieszczęśliwi piesi, którzy uważają się bezpieczni na trotoarze, bardziej są tu jak gdzie indziej wystawieni na niebezpieczeństwo.

W Paryżu, trotoary powodują często sceny bardzo zabawiające dla dostrzegacza któremu się nie spieszy.... Ale kto jest naglony interesem, opuszcza trotoar i nie ma czasu dawania na to bacności.

Każdy chce zostać na stronie od domu. Skoro dwie osoby zejdą się dostrzeżasz chwilę namysłu: nie wiedzą kto ma ustąpić. Trzeba jednak aby jeden porzucił stronę ulubioną, gdyż inaczej dwie godzin na jednym pozostałoby można miejscu.

Częstokroć, chcąc grzecznie się pokazać obie osoby ustępują sobie równocześnie. Wtedy uderzają się nosem jeden o drugiego; chcąc uniknąć takiego spotkania, po-

spieszasz się przeciwną wzięść stronę; nie-
szczęściem współ-zawodnik tak samo czy-
ni, i ścieracie się znów twarzą. Czasem trwa
to bardzo długo, i nie byłoby przyczyny aby
się zakończyło, gdyby jeden z was nie zo-
stał spokojnie, i nie powiedział drugiemu:
więc przechodź, niech to raz się skończy.

Są tacy którzy na dość wązkim trotoarze,
zabawiają się rozmową ze spotkaną osobą,
tak że przejść ani na prawo ani też w le-
wo nie możesz, i trzeba zejść na bruk z wy-
stawieniem się na trącenie albo przejecha-
nie pojazdem, dla tego że ludziom tym po-
doba się na całym trotoarze rozmawiać.

Skoro się znajdziesz za takimi osobami,
zupelne masz prawo nastąpić im na nogi i
dać bóksa w plecy póki nie zrobią przej-
ścia wolnym.

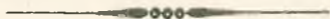
Widzisz jeszcze ludzi którzy mają nie-
szczęśliwy zwyczaj noszenia laski lub para-
solu pod pachą, trzymając je pionowo. Skoro
idziesz prędko, parasol lub laska może ci
oko wybić, a przynajmniej zwałać suknię.
Nieprzyjemność ta większą jest na trotoarze
niż na ulicy, gdzie więcej jest miejsca do
przejścia. Uderz wtedy w laskę czy w para-
sol, albo ją wytrąć tak aby skówka, ude-
rzyła w nos tego który ją trzyma.

Gdy deszcz pada, przejście po trotoarach
bardzo zabawne przedstawia obrazy. Zna-

czna liczba parasoli zbija się, ściera, spotyka, częstokroć łamie... jeden swój podnosi, a ty schylając uderzasz nim o kapelusz damy. Najszczęśliwsi wtedy ci są, którzy nie mając parasoli, przechodzą między tymi którzy je mają.

Są jeszcze istoty uprzywilejowane dla których zawsze jest na trotoarze miejsce, i przed którymi męszczyźni i kobiety, eleganci i metresy umykają nawet ze strony domu.

Są to węglarze i mularze.



PLACKI

Otóż odkryty w Paryżu nowy sposób zrobienia majątku. Ach! jakże złe masz przekonanie ty, który, dla z bogacenia się, sądzisz potrzebnym czynić liczne przedsięwzięcia, odkrycia krajowi swemu użyteczne, płynące do wielkich Indyj, Ameryki albo Kongo, odkrywać kopalnie w Golkondzie, albo zbierać futra w pustyniach Syberyi. Aby zebrać w Paryżu majątek trzeba tylko mąki i masła.... co łatwo mieć można i co wielkich nie wymaga zakładów; to jest trzeba robić placki.

Tak, to nie jest żartem, w Paryżu można zrobić świetny majątek i prędko, sprzedając placki; trzeba mieć tylko wziętość, a raz ją mając, nie ma potrzeby zbyt tanio je sprzedawać.

Nie zbyt dawno, bardzo skromny piekarz zamieszkał przy bulwarze Saint-Denis; magazyn jego nie zmieściłby trzech osób, dla tego wewnątrz nie wchodzono, zostawano na dworze, a często pchano się aby dostać plackek; sprzedawał zawsze i ciągle; sprzedawał od rana do północks, a często dłużej jeszcze. Zaledwie placki się pokazały piekarz je tylko krajał!.. krik... krak... ze wszystkich stron wyciągają ręce, aby dostać kawałek za dwa albo jeden sou.... a placek rozdany natychmiast miał następcę, gdyż za przedaniem jednych, podawano drugie i piekarz znów je krajał.... nic więcej też nie robił od otworzenia do zamknięcia sklepu, dla tego nadano mu przydomek Wiecznego krajaacza.

Jegomość ten prędko zrobił majątek. Myślanoby że rodzaj ten placków zginął z nim razem; bynajmniej zmienily tylko pana.

Obecnie na bulwarze Bonne-Nouvelle, do piekarza mieszkającego ze strony teatru Gimnazjum dążą po placki.

Ze wszystkich cyrkułów przychodą po placki do piekarza Gimnazjum; nazwę tę da-

no nowemu dziecku szczęścia, co zresztą nie może w niczem obrażać teatru którego on jest sąsiadem, gdy wiadomo że w tym, nie dostanie publiczność tak niezbędnego pożywienia.

Towarzystwo przychodzące do tego piekarza bardziej jest wybranem i bardziej mieszanem; do pierwszego przychodziły po większej części bluzy i kaszkiety; przed piekarzem Gimnazyum często widzisz kapelusze, nie jedną porządną damę, Gryzetki dość zalotne, które śmiejąc się każą sobie przynosić ciasta. Mówią że mniej więcej sprzedaje się dziennie od trzystu do czterystu placków, w niedzielę sprzedają od dziewięćset do tysiąc; cały placek kosztuje trzydzieści sous robotnik musi zarobić połowę na swym towarze, rachuj teraz korzyści codzienne piekarza.

O wieku! wiele wydałeś rzeczy!... odkryłeś jazdę parową; oświecasz nam gazem; wyrugowałeś z Paryża ruletę, loteryę, żebractwo, zakazałeś chodzić po większej części spacerów kobietom publicznym, które przeskadzały damom szlachetnym tam się pokazywać: jesteś wiekiem światła, odkryć, sztuk, romantyzmu, bród, wąsów i sygar; ale również należy przyznać jesteś wiekiem placków.

KABRYOLET MİLORDA

Oto nowy wynalazek zupełnie pożądaný, przyjemny i musi być trwały.

Kabryolet prędzéj od pojazdu iść może, jest to każdemu wiadome, czy dla tego że idzie z jednym koniem?..... zapewne. Mówią że zjednoczenie stanowi siłę; a ponieważ nie ma żadnego zjednoczenia między dwoma końmi przy dorożce, biedne te bydła więcej pokazują siły gdy im nie dają towarzysza przykrego ich losu.

Tak więc gdy idziesz na schadzke a obawiasz się opóźnienia, bierzesz kabryolet,

również go bierzesz gdy udajesz się do pięknej damy, gdy idziesz z proźbą do możnego człowieka, gdy ścigasz dłużnika, gdy dobrą wiadomość chcesz zawieść przyjacielowi, wreszcie za każdą razą, gdy chcesz prędko stanąć na miejscu.

Ale nie jest ci przyjemném siedzieć przy woźnicy nie zawsze czystym; od którego często słyhać wino, gorzałkę lub czosnek, a często wszystko to razem, nadewszystko zaś fajkę; przy woźnicy który co chwila się poprawia, obraca, porusza biczem, klnie konia i inne powozy omijające go obcierając swe spodnie o twoje.

Jeśli sam jesteś, możesz choć z przykrością znosić małe te nieprzyjemności siadając na drugim rogu kabryoletu, zostawiwszy małą przestrzeń między sobą a woźnicą. Ale jeśli masz z sobą damę, naturalnie dajesz jój lepsze miejsce: siedzisz więc wśrodku, woźnicę masz prawie na kolanach. Mówże teraz z poufałością co do swój damy, mając człowieka na sobie, świadka twoich najmniejszych poruszeń i który czasem pozwala sobie wtrącić wyraz do twój rozmowy.

Kabryolet Milorda jest nowym wynalazkiem, który oddala wszystkie te nieprzyjemności. Woźnica nie siedzi z tobą wewnątrz, ma osobne siedzenie dość wzniesione i od-

dalone od kabrioletu aby nie słuchał tego co się za nim mówi. Nowy ten kabriolet również jak i dawne ma cztery koła co większą daje mu trwałość a jadącego od wielu niebezpieczeństw chroni.

Jedź, probój szczęścia, ty który chceszjechać prędko.... nie powiem ci że *kabriolet Milorda* idzie jak wiatr (nie mają tego zwyczaju wynajmowane pojazdy w Paryżu, w tém nie przewyższamy cudzoziemców), ale przynajmniej będziesz używał wszystkich przyjemności kabrioletu; mieć będziesz świeże powietrze, widzieć będziesz przechodzących, magazyny, ogrody; jeśli jedziesz na wieś, możesz się śmiać, dokazywać, brać się pod boki, klaskać w ręce, czule miny robić, a to wszystko nie mając stangreta na kolanach.

A potem jeszcze jedna przyjemność: jeśli nie chcesz być widzianym od przechodzących, co czasem może mieć miejsce, nic łatwiejszego, wsiądź w *kabriolet Milorda*; nawet lepiej będziesz tam ukryty, niż w pojeździe którego żaluzie nie zawsze się szczelnie zamykają. Nowe te kabriolety mają pokrywę nakształt okiennicy z drewna i okien. Spuszczając ją.... dawaj baczenie na swą głowę, gdyż deko podnosi się z szybkością niezmierną, okrywa cały kabriolet,

i jesteś wtedy jak w pudełku, małym okienkiem, częściej, luwikiem, oświecony.

Wtedy ujrzeć cię trudno, możesz przebiegać nie postrzeżony cyrkuley zaludnione największemi nieprzyjaciółmi.

Kabryolet Milorda wielką otrzymał więtość, i to musiało nastąpić. Teraz na drodze wszczyna on dysputy, bo zawsze ich mało; jest rozrywany: jak bilety do teatru rozmaitości; jak piękna na bal tancerka; jak lody na zabawie; jak kawałek pieczonej cielęciny na wiejskim weselu; jak podwiązka pięknej mężatki; jak pierwsze westchnienie młodego serca; jak wszystko w ogóle jest nowe.

Kabryolet Milorda jest pojazdem ojca rodziny wożącego małżonkę i córkę na zabawę do wsi sąsiedniej; męża i żony niepotrzebujących zamykać się w dorożce; tych którzy rzadko jeżdżąc pojazdem, lubią pokazywać się gdy jadą; młodzieńca mającego młodą metresę, który się chce przy niej pysznić; dzieci które lubią widzieć wszystko; i rodziców chcących sprawić dzieciom przyjemność; badaczy lubiących czynić postrzeżenia tam którędy przechodzą. Wreszcie wszystkich osób obawiających się pojazdów dwukołowych.

Widzicie że *Kabryolet Milorda* łączy użytek z przyjemnością, można więc do niego przystósować sławny wiersz Horacego.

Omne tulit punctum qui miscuit utile dulci.



WYDZIAŁ

Widzicie że Kabryolet Milorda łączy użytek z przyjemnością, można więc do niego przystósować sławny wiersz Horacego. Omne tulit punctum qui miscuit utile dulci.

PERUKI

GDY mimo pomad z lwa, niedźwiedzia, wiclbłąda, olejków odradzających i wszystkich cudownych wynalazków w celu ocucenia naszego włoskowego systematu, nie doszli jeszcze do sposobu wyprowadzenia włosów gdzie rość nie chcą, peruki doszły wysokiego stopnia doskonałości — tak dalece że w Paryżu damy nie śmieją niczemu ufać.

Jegomość wdzięcznej postawy i obejścia znajduje się w towarzystwie, błyszczy dow-

cipem i pięknym czarnym włosom chardo na bok odrzuconym.

Damy lubią wszystkie te drobiazgi.... dość są łaskawe że dadzą niemi się ująć, chociaż często jest to zwodnicze.

Słuchaj rozmowy dwóch ładnych kobiet, na jednym z tych zgromadzeń gdzie eleganci schadzkę dają sobie.

— Czy Pan de G... przyjdzie dziś wieczór? jest to piękny człowiek czy tego samego jesteś zdania?

— Przed kilku dniami jeszcze tak samo jak ty dziś, sądziłam; znajdowałam Pana de G.... bardzo przystojnym chłopcem.... Wydawał mi się wcale do rzeczy. Dzisiaj wiele stracił w mej opinii!

— A to dla czego? cóż on zrobił, cóż się złego o nim dowiedziała?... Ach! proszę cię opowiedz mi wszystko.

— Czy nie wiesz jego awantury z Włoszką, ową hrabiną?

— Jak to, tą śliczną damą z czarnemi oczyma, która, mówią, nosi zawsze mały sztylet u pasa, aby ukarać zdradzającego kochanka?

— Taż samą.... Co do sztyletu, wiesz że w Paryżu damy przesadzające, romansowe, lwice, chciały modę tę wprowadzić; niektóre nosiły nawet u pasa sztylety złotem obwiedzione, ozdobione drogiemi kamieniami;

starannie zaokrąglone i stępione tak tylko, by nie kaleczyły.

— A cóż chciały z nim uczynić lwice Paryża?

— Również ukarać niewiernego kochanka.... wreszcie po włosku lub hiszpańsku próbowały zagrać. Ale to się nie udało.... na szczęście sztylet nie przystoi naszym obyczajom.

— Powróćmy do P. G.... słucham.

— Był on, mówią, kochankiem pięknej Włoszki, a ta nie do śmiechu nosi sztylet. Naostatek dowiedziawszy się że P. G.... był w lasku Bolońskim z jakąś damą, napisała do niego by ją odwiedził; i tu po scenie bardzo surowej, wydobywa sztylet grożąc niewiernemu morderstwem. P. de G.... zląkł się i chciał zemknąć. Hrabina ściga uciekającego, porywa go za piękne jego czarne włosy.... podnosi puginał.... Ale P. de G... dalej mógł uciekać i wreszcie zemknął, zostawiając w rękach ładnej Włoszki perukę tak doskonale udaną iż dotąd sądzono ją za własne jego włosy. Zapewniają iż to odkrycie natychmiast uspokoiło hrabinę, na głos śmiać się zaczęła, i napisała do P. G.... iż może bez obawy przyjść po swe włosy, że nie jest zazdrosną względem człowieka który nosi perukę.

— Jak to! czy to podobna!... piękne te czar-

ne włosy które tak często wielbiłam na czole P. G... są fałszywe!

— Tak, kochana przyjaciółko!

— Ach! mężczyźni szkaradnemi są, tak nas oszukiwać!...

— Są nawet tacy którzy wypchane mają łytki!

— To już niegodziwość! jeśli dalej to potrwa, nie będzie można niczemu ufać. Ach! przypominam sobie że mój kuzyn, którego włosy błęd tak są ładne nigdy nie pozwala abym rękę wsunęła między fryzurę jego.... z kuzynem, wiesz że to uchodzi.... nic za sobą nie pociąga!...

— Ach to wszystko jedno! ja mam zwyczaj fryzowania męża.

— Od jutra jeśli nie będzie posłuszny mój kuzyn, to mu włosy wyciągnę, a jeśli jest to peruka.... ha! przysięgam ci że więcej dueciku śpiewać z nim nie będę.

Peruka terazniejsza przewyższa dawną; jest lżejszą, świeższą a mianowicie więcej zwodniczą.

W Paryżu, wszyscy prawie fryzyerzy mają wzięcie, wyborne robią peruki; chociaż różnie o tém mogą mówić damy, mężczyźni na to nie zważają. I cóż w tym złego, aby okryć głowę peruką, obawiając się zakatarzenia?

Niezliczona jest liczba ludzi noszących pe-

ruki, a iluż to jest u których niedostrzeżo-
no, chociaż pokazują się w miejscach wiel-
kiego miasta najbardziej uczęszczanych.

To dowodzi że w Paryżu męszczyzni w o-
góle bardzo dobre peruki mają; co skłania
wielu że je noszą.

ZABAWA W MAŁYM GOSPODARSTWIE

PRAWDA która wiele osób obrazi, bo kogoś prawda w oczy nie kole, jest że na ziemi wszyscy jesteśmy małpami.... tak, małpami.... to was rozgniewa, ale nie o tym będę mówił.

To co robią na Dworze jest tonem między wielkimi osobami, możnemi, wysokimi urzędnikami. Ci znów są naśladowani czyli małpowani (istotnie dzieje się tak samo) przez bankierów, notaryuszów, kapitalistów, i przez tych których zowią wielkich własności posiadaczami. Dalej idzie klasa mie-

szczan, drobnych właścicieli, którzy również chcą małpować możnych, a ci znów są małpowani przez artystów zamożniejszych, ci znów przez rzemieślników, a ci jeszcze przez motłoch. Widzicie że to nie ma końca jak powiedział La Fontaine :

Tout petit prince a des ambassadeurs.

Tout marquis veut avoir des pages.

Dają zabawy w wielkim świecie, między możnemi; niżsi również dają; to zbyt naturalne: artyści, stróże również, wyprawiają w swych komórkach rauty. Wszystko się doskonali.

W wielkim mieście jest się nierównie wolniejszym niż gdzie indziej robić to co się podoba, zadowolnić swe chęci, próżność, wpośród tylu ludzi; gdzie każdy o sobie tylko myśli, mniej obawiając się szyderstw niż w małym miasteczku.

Bądźmy na wieczorze u małych właścicieli. Jest on przy ulicy Quincampoix, u dawnego urzędnika poczty, emeryta mającego: żonę, która nigdy piękną nie była, ale zestarzała się gdyrą, przykrą i chorą w imaginacyi; następnie córkę szesnastoletnią prosto z pensyi, gdzie zawsze pierwsze otrzymywała nagrody, a która nie jest w stanie haftki przyszyć do sukni; dalej drugą córkę ośmioletnią obiecującą naśladować siostrę starszą, którą znajdują pełną dowcipu, gdyż

mówi wszystko co tylko do głowy jój przyjdzie: otóż grono rodzinne.

Przychód trzy tysiące franków, z którego nie podobna co oszczędzić; mieszkanie na trzecim piętrze z czterech pokoi; meble od r. 1812; stara sługa którą jednak lubią, może dla tego że pije wino pokryjomu a w to miejsce w butelki wodę wlewa: oto masz opisany dom wewnątrznie.

P. Ducroquet, głowa téj rodziny, kocha swe dzieci, to jest obowiązkiem dobrego ojca, ale czuje słabość do starszej córki Ophelii, a odkąd wzięto ją z pensyi gdzie uczyła się z córkami markiza, xięcia i para oraz agenta zmiany, Panna Ophelia poziewa cały dzień pod nosem rodziców, nudzi się i żałuje pobytu swego na pensyi.

Wzruszająca naiwność! miła aby pocieszyć dobrych rodziców, którzy się starają dać świetne wychowanie dzieciom.

Widząc córkę ziewającą Pan Ducroquet mówi sobie: «To pewna że unas w domu są wielkie nudy... żona cały dzień się uskarża, wiecznie uważa się chorą... ja sam bardzo się nudzę. Ophelia zupełną ma słuszość, gdyż na cóż się zdadzą talenta skoro żyjesz jak niedźwiedź... niedźwiedź nie uczy się ani rysunków, ani muzyki, gdyż nie uczęszcza na zabawy.

Wypadkiem tego rozpamiętywania było

postanowienie dać kilka zabaw w ciągu zimy. Panna Ophelia poklaskiwała z radości, mówiąc, że to wielką będzie rozrywką; matka wzdychała, zapewniając, że to jej sprawi ból głowy; sługa gdyrała że goście powalają mieszkanie i cały dzień na zajutrz będzie miała co szorować. Ale Pan Ducroquet z administracyj poczt, wielki wprowadził porządek do swych projektów i ich wykonania. Dawano zabawy.

Gdy wielki dzień ten, a raczej zabawa nadeszła, od rana P. Ducroquet robi budżet swych wydatków. Roznosić mają wodę z cukrem, albo czystą podług woli osób którzy mieć będą pragnienie, a potem rozdadzą wielkie ciasto starannie na maluteńkie kawałki pokrajane. Zapalą dwie lampy (małych właściciele nie stać jeszcze na kandelabry); wreszcie będą świece na stole do kart i na fortepianie, ale te dopiero gdy nieodzwonnie staną się potrzebnymi, zapalą, zaraz zaś po zabawie zgaszonemi będą.

Stara sługa kiwa głową mrucząc, co znaczy że rozkaz rozumie i go wykona gdy będzie potrzeba; Pani Ducroquet niczem się nie zajmuje, robi sobie ziółka, pije gdyż sądzi że dostanie zapalenia piersi albo trzęsienia nerwów. Pana Ducroquet mało to obchodzi, ręczy że jego małżonka nigdy innych cierpień nie doznawała.

Panna Ophelina cały dzień zatrudnioną jest ubiorem głowy, po obiedzie jeszcze nie wie jak takową ubrać; bardzo jest w złym humorze, gdyż nie chciano zawołać fryzjera; przychody P. Ducroquet nie wystarczają na fryzjera dla córki; co właśnie, w tych słowach jój powiedział:

— Ale kto ma tyle co ty talentów... kto wszędzie nagrody otrzymywał... wreszcie skoro kto odebrał tak piękne wychowanie, należy umieć samój sobie ubierać głowę.

— Na przykład!... takie głupstwo!... Odpowie Panna Ophelia podnosząc ramionami, czyż to my miały fryzyerów professorami?

Ojciec mógł znaleźć odpowiedź grubiańską, wolął ją uważać bardzo dowcipną; tak to dobry ojciec zwykle czyni.

Nadeszła godzina zebrania, a Panna Ophelia nie ukończyła jeszcze swój tualety. Helloiza (młodsza córka) bieży z jednego do drugiego pokoju wołając:

— Ach! jak dziś ładnie u nas... nie powiedzianoby że to u nas!...

Lampy zapalono, otworzono fortepian, gdyż jest i tu fortepian; obecnie jest on meblem niezbędnym nawet u tych którzy na nim nie grają i nie lubią muzyki.

Postawiono dwa stoliki do kart... Jeden do builoty która jest w modzie ale w którą grają we cztery zamiast w pięć osób jak

to dawniej bywało. Drugi stolik do bostona albo pikiety, według tego jak się znajdują amatorzy; co do ekarte prawie z wszystkich zabaw tę wygnano; postrzeżono że zbyt prędko idzie i że w najszlachetniejszym gronie wkrada się w tej grze oszukaństwo.

P. Ducroquet przegląda karty, są między niemi takie które dopiero cztery razy były użyte, te zdają się mu jeszcze za czyste; zostawia ich na stole, obwijając w papier na którym wstążeczkę kładzie, aby sądzono iż są nowe. Nikt sobie iluzji robić nie będzie...

Zgromadzenie zbiera się dopiero o pół do dziewiątej; jest to za późno dla osób które chcą powrócić o jedenastej na spoczynek, ale mówią sobie że to w dobrym tonie.

Ten który przyszedł do salonu w którym nikogo prócz gospodarstwa nie znalazł, zagniewany że najpierwszy przyszedł, postanawia nigdy tego już nie zrobić. Jednakże gdyby wszyscy to mówili zgromadzenie nigdyby się nie zebrało. Dawny kupiec z żoną zaczynają zabawę. P. Ducroquet idzie na przeciw nim, wołając:

— Ach! jak łaskawi państwo jesteście że tak wcześnie przybywacie!... gdy mówię wcześnie, to jest już późno... To mniejsza, przybywacie jednak... jakżesz zdrowie Pani Boulignot... Zawsze dobrze?...

— Bardzo dobrze, dziękuję Panu.

— Ach moja żona zdrowa jak *brama Saint-Denis!* rzekł P. Boulignot, pocierając ręce i patrząc w około siebie z twarzą złośliwą.

— Nie powiedziałabym tego o mym zdrowiu, mruć Pani Ducroquet...

— Pani jesteś cierpiącą?

— Tak niestety! Niedostrzeżoną mam boleść w żołądku.... a następnie zwykle wchodzi mi ona w plecy... Czyż to pani doznajesz?

— Moja żona nie doznaje nigdy niedostrzeżonych boleści, rzecze P. Boulignot; jeśli się przypadkiem zadraśnie, wrzeszczy jak ślepy co płot stracił.

Pani Boulignot uderza po ramieniu męża, mówiąc: «cicho bądź ty niegodziwcze!» z twarzą z której wyczytałoby raczej można: — «Ach mój kochanku! jak mi jesteś drogim!»

— Ale gdzież to jest Panna Ophelia?... nie spostrzegam jej rzecze Pan Boulignot, przezierając wszystkie kąty salonu; jakby szukał Pannę domu pod stołami.

— Natychmiast przyjdzie.... sądzę że jej tualeta.... nie zewszystkim skończona, rzecze matka.

W tej chwili, mała Heloiza wpada do salonu i woła:

— Siostra mała ma szpilek podwójnych,

mówi że dom nasz jest brakiem na przeciw jej pensyi!...

P. Ducroquet każe milczyć córce i wsuwa jej dziesięć sous w rękę aby sługę posłała po szpilki dla Ophelii. Heloiza bieży, daje polecenie; sługa wścieka się, gdyż wtedy ją posyłają po szpilki, gdy tyle ma do roboty, gdy trzeba żeby czyściła szklanki i krajała ciasta; wychodzi jednak przeklinając wszystkich.

Mała Heloiza nic na to nie mówi, ale gdy sługa wyszła, kraje sobie kawał ciasta i wsuwa w kieszonkę.

Tymczasem towarzystwo się zbiera; przychodzi urzędnik pocztowy z małżonką i psem, charcica ta skacze po wszystkich meblach i łapy przednie kładzie na każdego spodnie. Przychodzi stary kawaler lubiący głośno mówić i kaszleć mocno, aby pokazać że ma tęgie piersi. Dalej idzie jegomość w kamizelce pikowej, dość brudnej koszuli, w sukniach nieoczyszczonych i z twarzą pokazującą że jej nigdy nie myje ani goli. Jest to artysta; kłania się na pół zaspany, następnie siada w fotelu, na którym wkrótce usypia ze wszystkiém.

Dalej wchodzi tłusta mała kobieta, której minęła czterdziestka, a którą zowią panną swawolną, dzieckiem, pieszczochem w mowie. Sądzi zawsze że jest młodą osobą,

gdyż ciągle jest Panną; jest to sposób zostać młodą całe życie.

Potém wchodzi wielka dama, nerwista, żulta, z dwoma córkami, piętnaście lub szesnaście lat liczącemi, prawie jój wzrostu; i z synem około trzynastu lat mającym, a już od obu siostr wyższym. Rodzina ta zebrana, daje bardzo dziwne wyobrażenie wiązki szparagów.

Wreszcie wchodzi młodzież z wąsami lub bez wąsów; kilka dam ładnych; kilku mężczyzn średniego wieku, bez znaczenia, w zgromadzeniu służących do zapchania dziury.

Panna Ophelia wchodzi do salonu, ale z twarzą nieukontentowaną gdyż nie mogła podług gustu się uczesać. Matka wyrzuca jój, że tak długo się ubierała, a ona z goryczą odpowiada:

— Ach! jak też to wygodnie, tutaj wszystkiego brakuje.

Damy siadają w półkole przed kominem, stary to jest zwyczaj, natychmiast oziębłość i nudy w zgromadzeniu wzbudzić mogący, a który bardzo słusznie wygnano z tych towarzystw w których prawdziwie umieją gości zabawiać.

Przez dość długi przeciąg czasu damy same między sobą cicho rozmawiają; mężczyźni z sobą zupełnie cicho. Słychać tylko

lekkie szemranie jak gdyby w pokoju u chorego. To bardzo wesoło.

Pani Ducroquet siada przy staréj kobiecie, której wylicza wszystkie doznawane dolegliwości, choroby, i lekarstwa których użyła i które używać myśli. Podeszła dama którą podobna rozmowa bynajmniej zajmować nie może, słucha, myśląc co jutro jeść będzie na obiad.

P. Ducroquet obchodzi zewnątrz grono, starając się każdéj damie powiedzieć komplement na jaki może się zdobyć. Te ogranicza na takich naprzykład:

— Więc.... Pani zawsze zdrowa?

— Dziś rano zbyt było zimno; ale jest teraz przyjemniej.

— Czy wszyscy u Pani są zdrowi?

— Bardzoś Pani dobra żeś przyszła.

— I cóż nam Pani nowego powiesz.

— Czypeczek na główce Pani, tak leży jak na aniołku.... Nie poznałem pani.

Gdy wymienił cały katalog tych pięknych wyrażeń, gospodarz domu zwrócił oczy na wszystkich jak gdyby chciał powiedzieć:

— «Trzeba jednak abym ich wszystkich zabawił.... To zbyt męczące.... Nie zawsze dowcip mieć można. Zająć ich jednak trzeba.

Projektuje więc aby nieco zagrano. Wszyscy temu poklaskują, każdy zdaje się być

w zachwyceniu; ale przybliżyć się do fortepianu nikt się nie odważa.

P. Ducroquet udaje się do każdego kogo zna za muzyka.

— Pani raczysz nam nieco zaśpiewać?

— Tą razą niepodobna.

— Może Panna?

— Ach Panie! czyż nie uważasz jaki mam katar.

— A więc siostra Pani?

— Chętnie to bym uczyniła, ale nie umiem...

— Ależ Panna Ophelia, mówią kilku z młodzieży, czyż jej nie usłyszemy?

— Ja nigdy nie śpiewam! odpowie Ophelia.

— Ale grasz Panna na fortepianie; gdybyś zechciała kawałek nam zagrać.?

— Ach! tak, mówi Pani Ducroquet, zagraj nam ten duży ustęp... którego się od tak dawna uczysz przy czym zrywasz strony... w niektórych ustępach!...

— Aby grać można należałoby doskonale umieć... Z pewnością grać nie będę.

Mała obelżywa mina z jaką młoda osoba odpowiada matce, uderza większą liczbę osób które tworzą towarzystwo, a jeden jegomość mówi do drugiego, że większa część tych pensionarek którym świetne dają wychowanie, zapomina powiększej części o najpotrzebniejszym, to jest grzeczności i uszanowania dla rodziców. Co do czułości

miłości córek to się nie wykląda i powinno by to zawsze się znaleźć w sercu dzieci: nieszczęściem dzieje się przeciwnie.

Wszystkie młode te osoby odbierające nagrody, posiadające kilka obcych języków, muzykę, rysunki, historią, wreszcie masę przedmiotów, nie mają wyobrażenia, jak wielce ton posepny, grubiański z ojcem lub matką, niszczy prędko laury otrzymane; mniemają że dowcip pokazują, a co innego dowodzą; wystawiają sobie że rozprawiając pokazują się jak zręczne kobietki, a mają minę głupią. Nie pojmują z jaką przyjemnością spoczywa oko na młodej dziewczynie która kocha i szanuje matkę!

Gdy Panna Ophelina upiera się, P. Boulignot pó cichu mówi, że zapewne nie dość jeszcze stron pozrywała.

A Pan Ducroquet widząc że nikt nie bierze się do Muzyki, grć w karty zaczyna. Proponuje bouilotte, punkt jeden po sou a stawka po dziesięć sous. Stary kawaler któremu proponują stawkę znajduje ją nieco drogą, wreszcie się decyduje.

P. Ducroquet myśli następnie zająć inny stół; ale jeden jest do wiska, drugi do bostona; decydują się nic nie robić. Panna czterdziestoletnia której gospodarz proponuje grę, odpowiada że woli rozmawiać. Istotnie nieustannie plecie w ucho damy przy

nięj siedzącą; potem wstaje i wprowadza drugą osobę w kąt pokoju, gdzie razem z nią po cichu się śmieje, wkrótce słysząc głośne śmiechy, jakby dla zwrócenia uwagi.

Przestarzała Panna nie wie zapewne że w zgromadzeniu nie wypada śmiać się w kącie, i udawać przy kim że się coś chce powiedzieć aby drudzy nie słyszeli. Ale skoro nie można było dostąpić małżeństwa, ileż to rzeczy wiedzieć Panna niemoże....

Po dziesiątej godzinie sługa wchodzi do salonu ze szklankami wody na tacy.

Po chwili przynosi znów talerz z ciastem pokrajanem na tak małe cząstki że trzeba dwa na jeden kąsek. Przechodzi prędko z talerzem nie zatrzymując się przed nikim, a ktoby chciał mieć kawałek ciasta musiałby go upatrzeć naprzód.

— P. Ducroquet przywołuje sługę która chce prawie z nie napoczętym talerzem uchodzić, i mówi jej:

— Cóż to!... cóż to robisz Maryanno; zatrzymajesz się... chodźżesz tutaj... te damy chcą ciasta....

— Damy, mruczy sługa, mówileś mi Pan abym je tylko przebiegła... to też tak czynię...

— A potem, cicho mówi P. Boulignot, to jest przemyślny sposób prezentowania kilka razy tegoż samego ciasta.

Po dziesiątej wieczór, dama którą proszo-

no aby śpiewała, a która odmówiła pod pozorem bólu gardła, niechęć siada przy fortepianie, gra kilka ustępów, wreszcie zaczyna aryę mówiąc do Panny Ophelii:

— Czy znasz Panna romans ten z *Amédée de Beauplan*?...

A nie czekając na odpowiedź, śpiewała romans; za ledwie ten skończyła zaraz woła:

— A ten z *Berata*. Wtedy przypomina sobie śpiewkę czarującą z *Loisy Puget* która ma cztery części; żadnej nie zapomniała. Dalej inny nadchodzi romans; nie ma więc przyczyny aby się wstrzymała odkąd ją nie proszą śpiewać.

A P. Boulignot, który jest krytykiem towarzystwa, rzecze do młodzieńca jednego:

— Cóż to za szczęście dama ta zapomniała że gardło ją boli.

Kłótnia przy kartach kończy muzykę. Stary kawaler żąda od stariej, chudej damy jednego sou za punkt przegrany, dama twierdzi że zapłaciła; każdy przy swoim obstaje. Stary kawaler ustępuje, mrużąc:

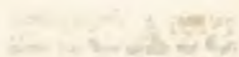
— Ustępuję gdyż jestem mężczyzną... oprócz tego nie idzie mi o sou... niezawodnie... ale to pewna że Pani mi go nie zapłaciła.

Po jedenastej godzinie, gry się kończą. Wiele osób wyszło; od dawna mała Heloiza śpi na krześle. Życzą sobie dobrej nocy, biorą kapelusze, salopy, płaszcze, paltoty, i zo-

stawiają rodzinie Ducroquet spoczynek na który tak zasłużyła, doznawszy tyle przykrości, chcąc godnie przyjąć zgromadzenie.

Na schodach słyhać jeszcze starego kawalera mówiącego do damy wysokiej i chudej z którą grał w karty.

— Ręczę Pani żeś mi nie zapłaciła; to nie idzie o sou.... wszyscy wiedzą że o to nie stoję.... ale za jeden punkt nie zapłaciłaś.



WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY

STACYE

PUBLICZNEJ PRYZWOITOŚCI

WYBUDOWANO na bulwarach, w odległościach nie zbyt wielkich, pewien rodzaj kolumn od dziesięciu do dwunastu stóp wysokich, kończących się gałką i kolcem niebu grożącym: rodzaj ten architektury przypomina minarety wschodu, a nie wiedząc dla czego nowe kolumny przypominać nam mają Turków.

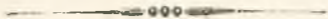
Stacye te, które nazywają *małemi kolumnami*, są wydrążone w wysokości człowieka; mają dość duży otwór aby jedna osoba pomieścić się mogła. Zdala uchodziły

by za szyldwachy, ale przybliżywszy się spostrzegamy że zarówno mogą cywilnym jak wojskowym być użytecznemi, i że ludzie mogą tam wejść dla zaspokojenia jednej z tych potrzeb naturalnych którą często zbyt są nacierani w spacerach albo na ulicach.

Musiemy poklaskiwać nowemu temu wynalazkowi: wszystko to co się przyzwoitości dotyczy, wszystko co zapobiega zarumienianiu naszych żon i córek, zasługuje na potwierdzenie; a w wielkim mieście, ludzie zbyt często zapominają o tej przyzwoitości w działaniu, — która pierwszym prawidłem ich postępowania być powinna. Widzicie tych ludzi którzy ubiorem i obejściem, chcą oznaczyć ton wyższy; w mowie używają wyrażen najbardziej wyszukanych, najwstydlivszych, i rumienią się gdy pisarz ośmieli się użyć jakiego słowa, wyrażenia, których używał Molier. Panowie ci tak surowi w wyrazach, pokazują zbyt często na ulicach, przechadzkach, zapomnienie raniące wszelką przyzwoitość, które za ledwie darowano-by człowiekowi najniższego stanu.

Stacye te publicznej przyzwoitości trzeba więc chwalić; ale dla czegoż tylko na bulwarach je umieszczono? Dla czegoż nie postawić ich na ulicach, rynkach. Na cóż mi się przyda możność przechadzania spokoj-

nie z żoną i córką po bulwarach Paryża, gdy idąc ulicą oczy napotykają to co dotąd małe kolumny osłaniały.



FILUTY.

Oto nowe wyrażenie ale jest przyjętém: obecnie młodzież wysokiego towarzystwa, panicze, lwy, mówią:

Jestem omamiony! co dawniej byłby powiedział: wzięto mnie za głupca! a prościej mówiąc, oszukano mnie!

Dziś *filuty* są prawie tém czém dawniej oszusty.

To jest niebezpieczeństwem w dzisiejszych towarzystwach *filutów*, że ci panowie często zabawiają, kryją swe przedsięwzięcie pod formami bardzo przyjemnemi:

są bardzo weseli w towarzystwie; żartują sobie bardzo dziwnie z osoby którą chcą oszukać, a nawet czasem, jeszcze wtedy żartują gdy się te spostrzegą że są ich ofiarami; nie można z tymi panami się gniewać; dla tego nie jest rzadkiem że dasz się omamić jednemu kilka razy.

Nie raz przybywa do ciebie człowiek którego nie znasz, któregoś nigdy nie widział; przychodzi jednak z twarzą otwartą, przyzwoitą, która zdaje się szacunek wzbudzać; dobrze jest ubrany, zaczyna mówić do ciebie uśmiechając się; klania się jakby przyjacielowi z którym żyje w zażyłości, chce z tobą sam na sam pomówić. Jesteś przy śniadaniu, albo zajęty pracą, ale jegomość ten, tak jest natarczywy, tyle nalegający że nie śmiesz mu odmówić: ze sposobu mel-dowania się jego, sądzisz że to być musi wielka osoba, przychodząca dać ci ważną radę w twym interesie; wreszcie ponieważ nieznajomy klaniając się równocześnie prawie pcha cię do gabinetu, wchodzisz więc, podajesz mu krzesło, na którym sadowi się wygodnie, poczem czekasz z niecierpliwością co powie.

Wtedy rozwija ci historję bardzo romantyczną, zajmującą, mięsza politykę.... ale zaczynając tego przedmiotu dotykać, patrzy ci z boku w oczy starając się odgadnąć twą

opinię; jeśli widzi że nie jesteś tego zdania które objawia, łatwo swe zmienia i drugie rozwija.

Następnie wydobywa z kieszeni pęk papierów, które musiał często pokazywać, gdyż są bardzo brudne i stare; rozwija pakiet z twarzą poważną, szperając wpośród tego mnóstwa, szuka coś starannie jakby to relikwie były. Poczém bierze list otwarty i daje ci go mówiąc: czytaj Pan.

Usiłujesz przeczytać bazgraninę; zwykle napisaną w języku do wszystkich podobnym wyjąwszy do francuzkiego; jednakże poznajesz że idzie w nim o nieszczęśliwego który był zmuszony kraj opuścić dla mnóstwa przyczyn, zbyt licznych abyś mógł je czytać, dla którego składki robiono we wszystkich miastach gdzie tylko raczył przebywać.

A wśród tego gdy czytasz, jegomość ma jeszcze między swemi papierami jeden, dość żuły, zadymiony, poplamiony atramentem i wielu innemi plamami wszelkiego koloru; pokazuje ci go mówiąc:

— «Oto lista osób które mnie wsparły, racz ją Pan przejrzeć; są tu wypisane imiona najzaszczytniejsze w naukach, sztukach i handlu.»

Rzucasz okiem na podpisy do przeczytania trudne, każde z tych imion jest ci obcem;

jeśli przypadkiem znajdziesz nazwisko znane, nie masz sposobu przekonania się czy podpis jest własnoręczny. Zaczynasz spostrzegać że ten jegomość który przyszedł z taką otwartością i postacią tak śmiałą, prosto żąda wsparcia; w czasie gdy składasz list myśląc nad tym co masz mu odpowiedzieć, on ci mówi:

— Mój kochany Panie, jesteś znany w Paryżu z pięknej duszy, wspaniałomyślności... Imię twe w każdego jest ustach. To też gdym przybył do tego miasta, każdy mi mówił: Idź do Pana.... potrzebujesz pieniędzy na powrót do ojczyzny, on ci pożyczy.... worek jego zawsze otwarty dla tego który żąda jego pomocy.... Proś go bez obawy o trzysta, czterysta, pięćset franków... natychmiast dostaniesz....

Gdy ci jednym tchem to mówi, pomieszany odpowiadasz:

— Mój Panie, gdyby mój worek zawsze był otwarty dla tych którzy chcą pieniędzy, niezawodnie byłby już próżnym.... gdyż żądano by ciągle; są ludzie którzy wolą żyć z pomocy innych, niż z własnej pracy albo przemysłu.

— Masz Pan słuszność! Ach! zupełnie jestem pańskiego zdania, jednakże nie mogę odzwyczaić was z przesądów. Prosiłbym o pożyczenie dwustu franków, które zaraz

odeszł Panu powróciwszy do swych dóbr za granicę... proszę zapisać swe imie na téj liście która przejdzie do potomności; gdyż zamysłam wyryć w dobrach mych... na kolumnie marmurowej wszystkie imiona które lista ta obejmuje... z kilku wierszami które dołożę, gdzie wychwalać będę zasługi mych dobroczyńców... w wierszach Alexandryjskich dwunastomiarowych.

Chociaż wszystko wiele cię ujmuje, odpowiadasz:

— Chciałbym cię zobowiązać, mój Panie, ale niepodobna.

— W saméj rzeczy!... jestem nie delikatny... nie zawsze dać można dwieście franków... sam z siebie tego mam przykład. Pożycz Pan mi tylko sto franków na drogę... ograniczę się... nie wezmę poczty... Dawniej nigdy nie inaczéj nie podróżował! ale jak to powiedział... zapomniałem który autor... również nie pamiętam tytułu dzieła, *trzeba być filozofem... gdy czym innym być nie można.*

Oddajesz temu jegomości jego stare papiery, mówiąc:

— Mój Panie, mam obowiązki, rodzinę... nie mogę...

— Ach! niestety! to prawda... o tym nie pomyślałem... Ale któż ich nie ma!... utrzymuję trzy domy... gdy jestem w dobrach

mych w krakowskim.... ale nie mówmy więcej o tém.... Pożycz mi Pan pięćdziesiąt franków.... na tyleż przecieź jestem odpowiedzialnym!... Jeżeli nie masz Pan jak dwadzieścia pięć i temi nie wzgardzę.... Ach mój Boże, nie jestem dumny.... Wszyscy ludzie są równi, codziennie mówię to do mego krawca, który powiada żem zbyt wysoki!...

Nie śmiesz odprawić tego Pana, który tak dobrze się wyraża, i tak świetne wykazuje wychowanie: wyjmujesz dwadzieścia franków, bojaźliwie dajesz mu je, mówiąc:

— Przykro mi jest że nie mogę dać więcej ale.... nateraz....

Niepozwała ci skończyć: już ma w ręku dwadzieścia franków, przeniosłszy je z twój ręki do swój kieszeni, zaraz wstaje mówiąc:

— To dobrze.... bardzo dobrze.... odeszłę je Panu.... aleś Pan zatrudniony a ja przeskodziłem.... Do widzenia.... po sto razy upadam do nóg.... nie fatyguj się Pan.... nie-odprowadzaj....

Jakby mu bardzo spieszenie było, jakby się obawiał abyś przez rozwagę nie odebrał mu pieniędzy danych, spieszy ku drzwiom, prędko przebiega tve mieszkanie, i ucho- dzi nieobróciwszy się nawet aby się uklonić.

Pojmujesz, jesteś omamiony na dwadzie- ścia franków.

Inną razą przychodzi do ciebie z ogrom-

nym portufelem pod pachą; również chce rozmawiać z tobą na osobności. Uważasz że filuty tylko na osobności chcą rozmawiać, obawiają się obecności żony, matki, siostry, córki, gdyż wiedzą że kobiety w ogólności trudniejsze są do oszukania od mężczyzn i że ich obecność może odjąć sposobność zysku który w tobie upatrują.

Człowiek z portufelem tytułuje się literatem a robi błędy gramatycznie mówiąc; (napisał dzieło dla postępu obyczajów, dla wyłączenia przestępstw których mianowicie pospółstwo się dopuszcza, a czuć od niego wino i gorzałkę); nie przychodzi do ciebie po żaden zasilek; położenie jego bardzo jest pochlebne, ma nawet nadzieję wejść do akademii; ale ponieważ dzieło jego jest pod tłocznia i wychodzić będzie peryodycznie tomami, przychodzi więc cię prosić abys zaprenumerował, mówi: że co się tycze przedmiotu dzieła, jest to skarb dla ludzkości; chce tylko by mu się powróciły koszta nakładu.

Pokazuje ci listę prenumeratorów... Wszyscy podobni ludzie mają listy mniej więcej długie.

Przeoglądasz ją, pospieszasz imie swe w ich rzędzie umieścić, mówisz:

— Tylko dwanaście franków?... a będę miał cztery tomy?!....

Ale nie ciesz się przedwcześnie, skoroś

się zapisał, jegomość ten pokazuje ci kwit na dwanaście franków zupełnie już przygotowany, na którym pisze twe imie, mówiąc że jego liczni prenumeratorowie przyjęli system opłacania z góry.

Mało zważasz na to, płacisz. Jegomość ten kłania ci się, mówiąc że odbierzesz tom pierwszy z końcem tygodnia.

Rozumie się że na tym koniec, nie usłyszysz więcej ani o nim ani o jego płodach.

Jesteś *omamiony* na dwanaście franków.

Inną razą przyjdą ci proponować zamianę starych na nowe suknie z dołożeniem nieco pieniędzy.

Nadstawiasz uszy, jak tylko możesz nadstawić: zdaje ci się bardzo korzystnym mieć nowe w miejsce używanych, które właśnie miałeś przestać nosić. Przynosisz swe suknie, surduty, płaszcze, spodnie! Chcesz zamianę największą uczynić, przybyły mówi ci:

—Przynoś Pan co tylko masz, przynoś Pan!

Bierze ci miarę, zaręcza że będziesz zadowolonym; wynosi wszystkie stare suknie, za które dałby jeszcze sto franków handlarz, we dwa dni przysyła ci zamiast spodni gatki zaledwie do połowy nóg dochodzące; może za dziesięć franków.

Albo też przynoszą ci próbki wina Szampańskiego, mówiąc:

— Skosztuj to Pan! trzeba ze sposobności korzystać.... pochodzi z piwnicy Xięcia.... Miał on najlepszą w Paryżu.... ale dziedzice jego wolą pieniądze!

Odkorkowujesz jedną lub dwie butelki, korek w nos cię trafia.... To doskonale; kupujesz pięćdziesiąt, sto butelek po czterdzieści sous.... prawie darmo!...

Po jakimś czasie wino twoje nie musuje, zawsze się pieni, ale to tak, że pić go więcej nie możesz.

Są to drobne filuterye; zdarzają się większe, ale to już w wyższych towarzystwach.

I tak ogłaszają w dziennikach przedsiębiorstwo wykazujące zysk dwu lub trzy milionowy w ciągu lat kilku:

Albo na glinie nowego rodzaju, którą uważają zdolną do doskonałego naśladowania porcelany Japońskiej;

Albo na obszernych minach marmurów, najpiękniejszych jakie widziano; są to stosy niezmierne potrzebujące tylko dotknięcia aby były przemienione w pałace, statuy, kolumny, arcydzieła;

Albo na minach w których może złoto, w najgorszym razie srebro, a niezawodnie pełne miedzi znaleźć obiecują;

Albo na niezmierniej przestrzeni gruntu w której odkryto trufle; trzeba je tylko zbie-

rać. Wszystkie świnie z okolicy dają sobie tam schadzkę.

Podług szczegółów zaś wykazujących zyski dla akcyonaryuszów; tyle ich jest, tak są znaczne, że istotnie trzebaby nie mieć... jednego sou wkieszeni, aby podobne korzyści odrzucić; w ciągu roku i sześciu miesięcy w czwórnasób powiększyłeś swe kapitały, masz wszelką jakiej można tylko żądać rekojmię, moralną i naturalną! istotnie jakby ci mówiono :

— Daj mi pięć franków, oddam ci dwadzieścia.

Możesz na to odpowiedzieć:

— To ja ci nic nie dam, a ty tylko dasz mi piętnaście franków... to będzie prostsze. Ale to dziać się tak nie może; brakłoby obrotu.

Akcyje są na tysiąc franków; ale raczono je na części podzielić; są stu frankowe dla wygody publicznej. Spiesz się bo już nie wiele pozostaje do zbycia!... Masz tylko dziesięć dni do nabycia akcyi... Jednakże gdybyś przybył po określonym czasie, już tylko przez przyjaźń byłbyś je dostał. Istotnie wszystko czynią aby ci się przysłużyć, bogacą cię, i musiałbyś być nie wiem jakim, gdybyś nie był z tego zadowolonym.

Bierzesz więc akcyje.

Po niejakiem czasie, gdy chciałbyś ode-

brać dywidendę, przynoszą cyrkularz, wzywający o złożenie dodatkowej składki na korzyść wspólną towarzystwa.

W kilka miesięcy później nowa odezwa do składki.... zawsze dla zapewnienia skutków przesiębstwa.

Akurat jest to tak, jak ci kuglarze na bulwarach, którzy zbierają w kapeluszach pieniądze od ciekawych, wołając nieustannie:

— «Jeszcze cokolwiek, panowie!... jeszcze kilka sous na jeden obrót.... panowie śmiało.... będzie za to sztuka, ale cóż, brak, jeszcze kilka sous.»

Obroty które robią z akcyonaryuszami są od dawna ukartowane, a często niespodziewanie dobrze.

Jednakże niektórzy, chcąc znać wielkie to odkrycie, w które włożyli swe kapitały biorą pocztę rano, jadą na miejsce uwielbiać okolice, postępy, miny lub kopalnie....

Od tego zacząć byli powinni! ale wtedy o tém nie myśleli, mianowicie zaś gdy są akcyonaryuszami.

Dostrzegają wtedy: że glina zdolna porcelanę Japońską naśladować, nie może nawet służyć na garki;

Marmury owe są trzęsawiskami, z których nie możnaby nawet kawałka kamienia do murowania wydobyć;

Mina złota, srebra lub przynajmniej mie-

dzi jest zaledwie miną węgla; górnicy stracili sławną żyłę kruszcu, która obiecywała im skarby, szukają ale nie mogą iéj znaleźć;

Trufle zmieniły się na kartofle. Tuszysz sobie próżne nadzieje, w towarzystwie zwierzęcia swego któremu dajesz znak kopania ziemi. Zwierze istotnie szuka, znajduje mnóstwo rzeczy, wyjąwszy trufle. Spostrzeżasz że cię *omamiono* na sumę za jakąś akcye kupił.

Strzeż się więc tych ludzi którzy ci obiecują z bogacenie, jakby to było rzeczą najłatwiejszą. Powiedz im aby się sami z bogacili wprzódy, to co nigdy uczynić nie mogli.

Ale w tak ogromnym jak Paryż mieście, nie należy ci się dziwić spotykając co chwila *filutów*; obejmuje ono tyle ludzi którzy co dzień jeść muszą; którzy wstają niewiedząc gdzie spać, gdzie obiad jeść będą, i w czym na ulicę wyjdą.

Ludzie ci szukają, odkrywają nieustannie nowe sidła aby przenieść pieniądze z twojej do swojej kieszeni, nie śmieją jeszcze kraść otwarcie, ale wymyślają różne sposoby by cudzym żyć kosztem, używają często do tego dowcipu, zręczności, wynalazku, które dobrze skierowane i z chęcią zostania szlachetnym i pracowitym, mogłyby

z nich uczynić ludzi znakomitych w naukach handlu i sztukach.

Są jeszcze towarzyscy *filuci*: jedni mają zdolność w ekarté zawsze króla zaznaczyć; inni są najmocniejsi w bilardzie; ukrywają swe zdolności przegrywając kilka partyj po talarze, a potem zgrywają cię na pięćset albo sześćset franków tak że nie możesz znaleźć sposobu zrobienia jednego karambulu.

Są *filuci* w każdej klassie w każdej towarzystwa gałęzi; do ciebie więc należy mieć się na ostrożności.

Mówiono że są i *filutki*, ale wyraz ten nie został jeszcze przyjęty i my nie chcemy temu wierzyć.

MAŁA POCZTA.

KTÓŻ byłby temu wierzył że zatrudnienie faktorów małej poczty Paryża, stanie się zatrudnieniem załatwianém przez ludzi w powozach?

Dawniej aby otrzymać miejsce faktora, trzeba było być silnie zbudowanym, a mianowicie dobrze stawiać nogi, gdyż na tém polegała czynność faktora; trzeba było chodzić.... zawsze chodzić, prawdziwie, zatrudnienie to było dla cygana!

Na wsiach człowiek trudniący się przeno-

szeniem listów z jednej do drugiej gminy zachował nazwisko *pieszego*.

Teraz możesz żądać urzędu faktora choćbyś był delikatny, osłabiony, chorowity, kaleką nawet, jedziesz powozem zamiast się męczyć, to polepsza tve zdrowie, a wykonując swój urząd pokrzepianie sił czujesz.

Nie myślcie że ganiemy nowy wynalazek... owszem; wszystko co dąży do ulepszenia położenia człowieka, co go szczęśliwszym robi, umniejsza mu pracę, uważamy dobrodziejstwem za które dziękować należy wynalazcy.

W naszej miłości dla bliźniego, chcielibyśmy widzieć kominiarzy w karetach, zapalających latarnie w kabrioletach, wymiataczy śmieci w omnibusach, brukarzy na koniach, gałganiarzy na osłach; do tego może przyjdzie; gdyż pojazd małej poczty dobre ma przyjęcie.

Administracya małej poczty jest przy ulicy *Jean-Jacques-Rousseau*; ztąd wyjeżdżają w różnych dnia godzinach pojazdy, mające zawozić faktorów w różne cyrkuły, gdyż dzielą tak faktorów jak listy. Pojazd ma dwie ławki, siedzą w nim jeden na przeciw drugiego. Tym sposobem, faktor wkrótce staje w miejscu które ma obejść. Wtedy trzeba aby trochę pochodził, żeby prze-

ciężnóg użył; ale nie może się zmęczyć, gdyż wysiada z pojazdu.

Zawsze to faktor przynosi ci kalendarz na nowy rok; ma je dla wielkich i małych panów, a raczej dla pierwszego i ostatniego piętra domu.

Epoka kolendy jest żniwem dla faktorów. Jednakże są ludzie których nic nie poruży, którzy równie są nieczułemi na kalendarz miasta jak i gabinetu, choćby oby dwa były ozdobione wyobrażeniami alegorycznemi.

Jedna stara kobieta, bogata, nieustannie odmawiała faktorowi dać kolendy, zawsze mówiła: czyż odbieram kiedy list jaki?

Faktor nic nie odpowiadał i próżno odchodził. Ale w ciągu jednego roku otrzymała stara kobieta wiele listów, były to cyrkularze kupieckie; anonsa które ci przysyłają aby taki a taki sklep zarekomendować. Korespondencye w samej rzeczy zajmujące, a których powszechnie czytać się nie chce. Stara kobieta bardzo się temu dziwiła, ale, z koncem roku dała kolendę faktorowi.

Mało jest ludzi których przybycie, częste jakkolwiek, byłoby tak upragnioném życzoném z niecierpliwością, jak przybycie *faktorów małej poczty*.

Skoro spodziewamy się listu od kochanka; oznaczenia schadzki od metresy; nowo-

ści od ukochanego dziecka; od czulej matki; od męża podróżującego, któremu zachowuje się wiara; od starego kuzyna majątnego a słabego, którego dziedzictwo na nas spada; od przyjaciela zażyłego; towarzyski dzieciństwa; od zgrzybiałego ojca; o nowonarodzonym.... Ach jakżesz upragnioném jest przybycie faktora!

Jest to w Paryżu osoba za którą wzdychamy najbardziej; a jednakże nie ma opinii człowieka szczęśliwego w miłostkach.

LITERAT PARTACZ.

ALE któż to jest ten jegomość siedzący w kawiarni nad bankietem, podparty tyłem do szklanki, do której z nienacka często się obraca? Przed nim stoi szklanka wody z cukrem, którą z czasu do czasu kosztuje, wiele dzienników leży na stole przez niego zajętym, czyta takowe, przerywając sobie wykrzyknikami:

—«Ah! mój Boże — Co za galimatya — Ah źle, źle! — Godne litości! — To brednie!... pochwały sztuki... Ah! mówmy o niej! pię-

kna mi!... nikczemny ustęp! utopiłbym się gdybym go zrobił....»

Z powagi którą sobie nadaje ten jegomość, jeżeli nie masz jeszcze doświadczenia sądziłbyś może, że to jest ktoś z naszych sławnych literatów lub artystów.

Nie oszukuj się: sława wcale tak się nie objawia, przynajmniej bardzo rzadko; wreszcie ludzie ze zdolnością są powszechnie pobleżający, i nigdy ich nie usłyszysz szarpiących sławę współzawodnika, lub obrażających i wyszydających poczynającą młodzież.

Jegomość ten tyle hałasu, zamieszania, niespokojności, robiący! jest autorem trzeciej części wodewilu granego, z dosyć znacznym niesmakiem, w jednym z najmniejszych teatrów naszych. Od tego czasu przybrał nazwę *autora dramatycznego*: przez intrygi, zabiegi dokazał że imie jego jako członka redakcyi, umieszczono w jednym z małych dzienników, od tego czasu został *literatem*; ale między prawdziwemi literatami, nazywają tych panów *literatami partaczami*.

Czy to wam nie przypomina tego *Gaskończyka*, który chodził jadać chleb suchy w ogrodzie przy pałacu królewskim, a wieczorem przechadzał się z piórkiem do zębów mówiąc z twarzą zadowoloną do przy-

jaciół których napotkał: Na honor przechadzam się aby strawić, gdyż wracam z obiadu z pałacu królewskiego.

Ale ludzie dadzą się pozorom uwodzić. Zawsze umysły proste i dobroduszne są i będą oszukanemi przez tych *partackich literatów*; jak są jeszcze tacy którzy kupują balsam od szarlatanów i pomadę dla rośnięcia włosów.

Młodzieniec utalentowany, nieznany jeszcze, ułożył sztuczkę; szuka kogo, coby ją przejrzał, człowieka któryby miał wpływ, któryby o nim coś powiedział, zkrytykował pismo jego. Powiedziano mu że ten jego-ność tyle zamieszania czyniący jest *literatem*; udaje się do niego, pokornie podaje mu swą pracę, którą ten bierze z twarzą protektora mówiąc:

— Dobrze przeczytam to.... przyjdź do mnie za tydzień albo we dwa tygodnie.... starać się będę przeczytać ją....

Młodzieniec dziesięć razy był u swego *mecenasa*, ale go nigdy w domu nie zastał; wreszcie postrzegłszy go w kawiarni bieży ku niemu i mówi:

— A! to Pan! miło mi żem Go spostał....

— Ach! dzień dobry, mój kochany, dzień dobry!....

— Wiele razy byłem u Pana Dobrodzieja nigdy niemając szczęścia Go zastać.

— Cóż to u diabła myślisz!... czyż zawsze można być w domu!... mając tyle co ja zatrudnień... rzadko abym kiedy na noc wrócił do siebie! Mam mieszkanie za tysiąc dwieście franków; wielkie to głupstwo, gdyż nigdy w nim nie siedzę.

— Raczyłeś Pan przeczytać mą sztukę? Teraz jegomość ten przybiera jeszcze poważniejszą minę, podnosi oczy, robi miny, potrząsa głową, mruczy, mruga oczyma odpowiadając:

— Tak mój kochany... tak czytałem.

— A więc cóżbyś Pan o niej powiedział? *Literat* głaszcze sobie podbródek, wielokroć powtarza: hum! hum! czym dość niepokoi młodzieńca, który mówi:

— Jednakże Panie Dobrodzieju... jakaż opinia?

— Mój kochany... naprzód widzisz... mało jest miłości w twój sztuce... tego brak, trzebaby się postarać w tym przerobić...

— Nie dość miłości.... ach mój Panie, wszakżesz tam tylko o niej mówię.

— A!... w takim więc razie... trzeba nieco ująć... rozumiesz Pan... zawsze jedno... to rzecz nudna... jednaże to się da naprawić... Ach ja większe pokonywał trudności.

Młodzieniec wreszcie dostrzegłszy z kim ma do czynienia, oziębłej nieco mówi:

— Czy masz Pan rękopism przy sobie?

— Mam... oto jest.... zabawiłem się, czytając niektóre ustępy... zgubiłem dwie karty... ale to mała szkoda... w miejsce to można włożyć... co przyjdzie do głowy...

Młodzieniec odbiera biedny swój rękopism, kładzie go w kieszeń, kłania się mówiąc:

— Przepraszam Pana Dobrodzieja żem go zatrudnił... ale sądzę żem nie jest godzien mieć Pana współpracownikiem.

— Ach masz rację! zawoła *literat!* a więc dobrze, zapowiedz no tylko że co wydajesz, zagniotę cię mym dziennikiem... gdy będę w nim pisał...

Są *literaci partacze* którzy pracują albo sądzą że pracują, co dla nich jest jedno i toż samo. Skoro natrafią chełpliwością, krzykiem swym na nowego autora, który w nadziei że ma współpracownika przyzwyczajonego pracować dla teatru, powierza im swój rękopism, zamykają się u siebie, i tu po przeczytaniu, rozmyślaniu nad sztuczką, na którą mają rzucić promienie swego geniuszu, łamią sobie głowy aby nowe wymyślić stanowisko, jakie schadzki niespodziewane, pewne wrażenia, jednem słowem porobić korzystne zmiany.

Na nieszczęście, a bardziej na szczęście, aby być istotnie autorem trzeba być od nieba

natchnionym, a jeśli nie jesteś urodzony z talentem zdolnym wydawać sztuki teatralne, możesz bezskutecznie targać włosy, nie wydobędziesz niczego.

Boileau powiedział:

— «*Bądź mularzem jeśli czujesz do tego zdolność!*»

Ale większa część tych literatów przywidzianych nie czytała *Boilego*. Niechcąc się poznać, sądzić i pokazać jasnymi.

Po miesięcznym czasem dłuższym trzymaniu u siebie rękopismu im powierzonych, nasz *partacz* pisze wreszcie do współzawodnika:

«Kochany autorze! zakończyłem naszą «sztuczkę, przykro mi, trzeba było wiele «zmieniać, przerabiać.... wynaleźć wiele no- «wych ustępów, odejmować wszystko, co «było niebezpiecznym; w końcu jednak u- «ważam że pracę tę dobrze ukończyłem. «Przyjdź do mnie jutro rano; będziem razem «naszą sztuczkę czytać, pójdziemy potem do «dyrektora teatru, sądzę że dobrze pójdzie.»

Odbierając list ten, autor rękopismu pochlebionym być się czuje, widząc się nazywanym «mój kochany autorze.» Tém bardziej że nic jeszcze oryginalnego nie napisał.

Ścisłe biorąc są tacy którzyby to za epigramat wzięli, ale zawsze tyle zarozumiałemi jesteśmy, że wszystko z dobrej strony

bierzemy; młody neofita jest téż uradowany. Trzeba się więc ubrać, ubiera się czarno; kolor ten jest ulubionym kolorem tych którzy chcą zjednać sobie w literaturze imię, a ci których już słynie nie troszczą się o kolor ubioru. Wreszcie ubrał się, idzie do sławnego swego kolegi.

Po zwyczajnych ukłonach, ale tą razą bardzo długich, gdyż nowy autor nie chce być ostatnim, przybywają do najważniejszego punktu, do czytania sztuki. Młodzieniec jest bardzo niecierpliwy poznać wszystkie zmiany których praca doznała.

Literat partacz bierze rękopism, rozwala się w fotelu, i zaczyna czytać, po kilkokrotnym kaszlnięciu, aby czyściej mógł mówić, w chwili rozpoczęcia wstrzymuje czytanie mówiąc:

— Najprzód, kochany przyjacielu, muszę ci powiedzieć że zmieniał tytuł naszej dramy.

— Więc go Pan Dobrodziój złym znalazłeś?

— Nie złym, ale gdy natrafia się na lepszy, trzeba go użyć.... Wierz kochany przyjacielu, że dobry tytuł stanowi połowę... trzy czwarte wartości dzieła....

— Sądzę więc że będzie korzystnym, mianowicie gdy sztuka to obejmuje, co obejmuje tytuł....

— Nie ma tu mowy o tém co obejmuje... dotrzymuje się jeżeli możemy! głównym jest obiecać. Ale tytuł oryginalny jest dobrą zapowiednią.... znam literatów.... autorów uzdatnionych wyszukujących tylko tytuły sztuk; gdy go znajdą, zanoszą takowy innym autorom którzy mają zwyczaj pisania, a co stanowi walor dzieła. Trzeci przegląda urządzenie scen i wynajduje położenie; czwarty w to wszystko wlewa ducha.... Jeżeli potrzeba wesołości, szuka się piątego współpracownika, ale powszechnie to nie potrzebuje zabawiać; otóż masz ukończoną sztukę, i autora który czwartą część zysku otrzymuje za jedyny tytuł.

— Jednak to zbyt wielu czterech do ułożenia jednej sztuczki.

— Bywa ich pięciu, czasem sześciu... nie dziwiłbym się gdyby założono towarzystwo akcyonaryuszów na układanie sztuk teatralnych.

— Ale bierzmy się do rzeczy. Sztuczka moja nosiła tytuł: *Pasterka lasu* uważałem nazwę tę dosyć ładną.

— Tytuł mógł ujść, ale ten który odkryłem, bardzo jest naturalnym! więcej uderzającym. Nazywam naszą sztukę: *Lasem pasterki?* cóż mówisz na to?...

— Jest to odwrócony tytuł pierwiastkowy.

— Tak, to prawda! ale co za różnica!... co za różnica!... niezmierna, w tym przemienieniu wyrazów... *las pasterki!*... to obiecują masę rzeczy które wszyscy będą ciekawi widzieć....

— Istotnie to tyle obiecuje że.... ale.... chciéj Pan czytać, słucham....

Młody autor nie jest bynajmniej uniesionym ze zmiany tytułu sztuczki. *Literat partacz* bierze rękopism i zaczyna:

— Osoby: *Hrabia Arnold de Montournal*.... Napisałeś Pan tylko *Hrabia de Montournal*, dodałem *Arnold*, toż nierównie lepiej!... to więcéj zaraz daje godności całej osobie.... dalej napisałem: *Baron d'Apremont*.... tyś położył *d'Apreville*.... znalazłem że imiona kończące się na *ville* są miłe dla zdrajcy, zaś na *mont*, są pełne, płynne.... dobrze wpadające w ucho.... Bardzom zadowolony dobraniem wyrazu *Apremont*... przyszło mi to do głowy gdym grał w wiska... Dalej czytam: *Adele Dorgeville*... Napisałeś *Adele Dorgemont*; uważałem ten wyraz za twardy dla kobiety.... a mianowicie zakochanej.... Zakochane rzadko są w teatrze twardemi.... *Dorgeville* bardziéj jest płynne, łagodne.... Dalej czytam: *Bernard intendent zamku*. Napisałeś *Dubois*.... *Dubois* jest pospolitszém.... *Dubois* napotykaemy w każdej dawnéj komedyi.... jest to na-

zwisko zużywane; gdy tym czasem *Bernard* bardzo mało. Dalej czytamy: *Fonchonnette*, pasterka... Ach musisz dostrzegać wielką w tym zmianę; to jest twoja *Fanchette*, przemieniłem na *Fanchonnette*!... to było koniecznym, dla bochaterki sztuki... jedna więcej sylaba jest głównym.... Otóż wszystkie nasze osoby.... Ach prawda.... położyłeś także, dwóch służących zamkowych, ja przemieniłem na czterech.... Na honor, powiedziałem sobie czterech służących to nie dwóch.... koniecznie więcej musi uczynić wrażenia od dwóch.... dodadzą ruchu większego scenie.

Młody autor pokazał małe niezadowolenie słuchając zmiany w nazwiskach osób.

Partacz obciera sobie czoło z potu i wreszcie zaczyna czytać:

Trzy pierwsze sceny pozostały tak jak młody autor je napisał, ale przybywszy do czwartej, czytający wstrzymuje się mówiąc:

— Tutaj zmienilem. Położyłeś: *Baron wychodzi na prawo*; napisałem: *Baron wychodzi na lewo!* To wiele sprawi dobrego, gdyż na prawo stoi drzewo a zbyt prędko wychodząc, baron mógłby wpaść na nie!... gdy tym czasem wychodząc na lewo obawiać się nie będzie miał powodu. Dalej, czytamy dając baczną uwagę na zwrot *Fanchonnetty*; kończysz tak: *Ach jakże okropnie jest kochać bez*

nadziei i wzajemności! Oto tak przełożyłem: Ach! bez nadziei wzajemności, kochać jest rzeczą bardzo dokuczliwą!... Wprawdzie jest to też sama myśl... ale daleko lepiej oddana.

Później mówisz do *Allain* naszej komicznej osoby :

Kobiety są jak orzechy laskowe; aby mieć choć jedną dobrą, trzeba wziąć ich wiele.

Naprzód mój kochany: taką ważną klasę towarzystwa oburzasz na siebie; porównasz kobietę z orzechem laskowym. Za wiele rezykujesz!... W to miejsce napisałem:

Są dobre kobiety, ale są też i dobre orzechy laskowe....

— A cóż? czy nie pięknie.... nikomu to nie szkodzi.... a cała twa myśl jest w tym ukrytą....

— Ale owszem, zdaje mi się, że to zmienia mą myśl.

— To robi ich dwie.... To nierównie lepiej. Daléj czytam.

Młody autor siedzi cicho i słucha. Z końcem aktu spostrzegając że cała scena wyrzucona, woła:

— Cóż się stało ze sceną w której pasterka otrzymuje oświadczenie miłości?.. Panes ją opuścił?!

— Nie! mój kochany autorze, alem ją obciął.

Obciął! a to dla czego?... To jest węzeł całej sztuki.

— To też właśnie przecinając węzeł, rozwiązuje się nierównie łatwiej. Zresztą oświadczenie się z miłością, jest teraz bardzo pospolitą; w każdej sztuce teatralnej jest tego pełno.

— Ale wreszcie cóżes pan w to miejsce napisał?

— Ach bądź spokojny! gdy pasterka wychodzi do lasu, idzie za nią hrabia, mówiący wtedy na osobności, tak jednakże aby był przez publiczność słyszany:

«*Fanchonnetta idzie do lasu; pójdę za nią, powiem jej tylko dwa słówka do ucha.*»

— A cóż?... zdaje mi się że wyrażenie to na osobności uczynione, odkrywa myśl całą hrabiego... obejmuje wszystko, a równocześnie nic nie obejmuje... mając tę korzyść za sobą że zajęcie całe w zawieszeniu zostawia.

Biedny młodzieniec ciągle milczy. Nie spodziewał się tego co słyszy. *Partacz* kończy czytanie dramatu; zmiany które zrobił w ostatniej części dzieła są te same co poprzednie natury. I tak w jednym miejscu położył: *Nienawidzę cię do śmierci!* zamiast: *Nienawidzę cię.* — *Zgińmy oboje,* zamiast: *umrzyjmy razem.* Wreszcie wtrą-

cił wiele *ah* zamiast *oh!* i wielki Boże! zamiast *sprawiedliwe nieba!*

Otóż robota kosztująca go miesiąc czasu i z której tyle się chlubi. Skoro skończył czytać, oczekuje pochwały i podziękowania ze strony młodego kolegi; ale ten ponurą zachowuje spokojność. Jednakże przychodzi do siebie wspomniawszy: że jeżeli grać pozwolą... co jest rzeczą główną, to o resztę mniejsza, a *Partacz* powiedział że to samo pójdzie!

Literat partacz mówi, że sztuczka będzie wkrótce czytana, że zna dyrektorów, aktorów teatru, i wielu literatów.

Trzy miesiące upłynęły, w którym przeciągu młody autor co tydzień był u kolegi swego, mówiąc mu:

— A więc nasze czytanie?

— W tych dniach będzie... w przyszłym tygodniu... niezawodnie... powiedzieli mi że są przywaleni pracą... zresztą bądź Pan cierpliwy wkrótce dam mu znać na piśmie.

Biedny młodzieniec powraca mówiąc sobie:

— Zawsze mi jedno mówi!...

Wreszcie czytanie oznaczone. Dzień wielki nadszedł; młodzieniec idzie do *partacza* z całym zaufaniem. *Partacz* nie przestaje powtarzać:

— Rzecz skończona... Możesz Pan być

pewnym że dramę przyjmą. Ja sam czytać ją będę.

Młodzieniec niezadowolony ze sposobu którym współpracownik jego czytał wtedy mu sztuczkę, rzecze nieśmiało:

— Ale gdybyś Pan pozwolił.... mógłbym czytać.... dość mam ognia!...

— Co ty! Ha! to pięknieby było... ty, który nie masz zwyczaju czytywać przed dyrektorami! miej się na ostrożności. Nie zapamiętaj, aby czytać dobrze sztuczkę. Ale spokojności, zimnej krwi.

Z resztą polegaj namnie.

Idą do dyrektora. *Partacz* przedstawia młodego swego kolegę jako wstępującego w karierę którą on chce podeprzyć. Młodzieniec ogranicza się na ukłonie niezręcznym; czuje wzruszenie, serce jego bije z taką siłą że nic nie jest w stanie wymówić. Wreszcie zaczynają czytać:

Partacz czyta sztuczkę zupełnie źle; tyle oszczędza swych zdolności iż ich nigdzie nie pokazuje, ale młody autor myśli że źle słyszał, nietrafnie osądził kolegę.

Czytanie się skończyło jednozgodnie sztuczka odrzucona.

Młody autor osłupiał; ponure myśli tworzy nad swym stowarzyszeniem dramatycznym. Co do *literata partacza* ten wścieka się; roz-

pościera nagany przeciwko dyrektorowi i jego teatrowi, woła:

— Odrzucić taką jak ta jest sztuczkę!... w którą tak obficie dowcip wlewałem! To już są osły. Teatr ten nie może postępować; nigdy dobrze nie będzie wyglądał. Jestem przekonany że sztuczkę przyjmą i grać ją będą gdzie indziej; jednakże nie jest przyjemnie czytać napróżno.

— Sądysz Pan że będzie gdzie indziej przyjętą? mówi młodzieniec wzdychając:

— Jak to! czyż wątpisz?

W przeciągu sześciu lat partacz sześć razy czytał; wszędzie sztuczkę odrzucano. Młodzieniec przedsięwziął sam postępować, nie myśleć o swój pracy; zostawia ją przy partaczu, który po kilku miesiącach zmienia tytuł sztuczki, i wyrabia że ją grają pod jego imieniem w jednym z najgorszych teatrów.

Są wreszcie literaci którzy istotnie pracują nawet wiele, i którzy chociaż nigdy nic nie zrobili dobrego, mają przekłętą zwyczaj uważać to wszystko za złe co ich kolega zrobił, sądzą że powinni wszystko zmienić w sztuczki które im przynoszą.

Jeżeli podobnym partaczom powierzysz sztukę w guście *Héro et Léandre* zrobią z niej przypadki *Telemaka*; jeśli utworzył dzieło nad bitwą pod *Fontenoy*, w ich rę-

kach z tego się zrobi założenie Rzymu. Możesz czytać od początku do końca sztuczkę, nieznajdziesz tam żadnej z twych myśli, zdań; a na nieszczęście wszystko to co swego dodadzą nie warte jest twój pracy.

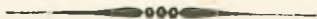
Wreszcie czwartą kategorię literatów partaczów znajdziesz w tych którzy *wszędzie biegają*. Ci ciągle są w ruchu; w jednym dniu są w czterech, pięciu, sześciu teatrach; wieczorem we wszystkich; są obecni na próbach, reprezentacyach, rozbieraniach; zawsze ich znajdziesz: w gabinecie dyrektora, za kulisami, na parterze; gdybyś poszedł przechadzać się pod teatrem, niezawodnie tambyś ich znalazł; ludzie ci są wszędzie.

Wszędzie krzyczą na niesprawiedliwość; chcą czytelników, chcą próby; idą od jednego, do drugiego, gniewają się nieustannie; jak tylko dyrektor przechodzi, bieżą do niego, ściskają go, biorą go pod rękę, wtaczają do kąta, gdzie starają się zatrzymać go jak najdłużej, mówiąc po cichu i nadając sobie twarz tajemniczą, aby sądzono że mają jaki wielki sceniczny interes.

Między wielką liczbą *literackich partaczów* którzy muszą kręcić się w wielkim mieście, gdzie teatr stał się prawie giełdą, radziemy *wszędzie się znajdującym* dać pierwszeństwo; z temi przynajmniej może

kiedy zyskają autorowie ze sztuki ich przedstawionemi zostaną.

Rozszerzyliśmy się nad tym rozdziałem, gdyż Paryż jest wielką fabryką wszystkich sztuk teatralnych, które później we wszystkich miastach Francyi są grane, i ponieważ teraz w wielkim mieście wszyscy uważają się za autorów.



ULICA SAINT-DENIS.

PARYŻ ma obecnie w swym obwodzie około tysiąc sto ulic. Nie mamy zamiaru opisywać historyi wszystkich; toby nas zbyt daleko zaprowadziło. Oprócz tego, w masie téj ulic wiele nic ciekawego, nic godnego uwagi nie przedstawia, a tém samém nie zasługuje aby się nad niemi zatrzymywano.

Ale ulica *Saint-Denis* uwagę naszą zwrócić powinna.

Jest jedną z najdawniejszych, najdłuższych, najludniejszych, wielkiego miasta ulicą.

Zaczyna się przy placu Châtelet a kończy przy bulwarach. *Brama Saint-Denis* jest punktem demarkacyjnym między ulicą a przedmieściem. Mówią że ma to nazwisko od małego miasteczka *Saint-Denis* do którego prowadzi. Część przyległa rzecze nazywała się w trzynastym wieku *Grand' Rue de Saint-Innocents*; później całą ulicę nazywano *Grand' Rue de Paris*; wreszcie nazywano ją *Grande Chaussée de M. Saint-Denis*. Dzisiaj nazwisko to nieskończenie skrócono. Gdybyśmy zachowali naszym ulicom wszystkie nazwy które dawniej nosiły, cudzoziemcy a nawet Paryżanie nie poznaliby ich bez wątpienia.

«Bramą to *Saint-Denis*, mówi nam *Saint-Toix*, królowie i królowe odprawiali wjazd do Paryża. Wtedy ulica *Saint-Denis* była wysłaną materyami jedwabnymi i sukniem. Powietrze woniami, perfumami słychać było. Wino, mleko z wielu fontan płynęło. W pewnych odległościach umieszczono teatru, pantominy, muzyki, przedstawiające historję Starego i Nowego Testamentu.»

Jeżeli godzi się dać wiarę *Froissardowi* przy wjeździe *Izabeli Bawarskiej*, było w bramie *Peintres* (która jest naprzeciwko ulicy *Petit-Lion*): «Niebo czyste i bogactwo gwiazdami zasypane a w tym niebie

«małe dzieci w postaci aniołów śpiewały.
 «Skoro królowa przejeżdżała pod bramą te
 «go raję, dwóch aniołków spuszczać się
 «w powietrzu, unoszoną w rękach koronę zło-
 «tą drogiemi kamieniami wysadzoną na głó-
 «wę królowej włożyli przy śpiewie na jej
 «chwałę.»

Inny kronikarz, *Jan Juwenalis Ursins*, opo-
 wiada następujące zdarzenie z okazji wej-
 ścia do Paryża *Izabeli Bawarskiej*:

«Karol VI chcąc ją widzieć, powiedział
 «do Savoisego, swego ulubieńca: Savoisi
 «proszę cię siądź na mego konia, a ja poja-
 «dę za tobą, ubierzemy się tak aby nas nie-
 «poznano, i udamy się na wjazd mojej żo-
 «ny! Przejechali więc przez miasto w ró-
 «żnych punktach i przybyli do Chatelet o go-
 «dzinie w której królowa przejeżdżała. Mas-
 «sę ludu tłoczącego się policya batami, dla
 «wstrzymania natłoku ze wszystkich stron,
 «biła. Król wraz z Savoisin starali się
 «ciągle tłoczyć; policya nieznając oby-
 «dwóch, biła ich po plecach, król miał wie-
 «le sieńców; wieczorem zaś w obecności
 «dam i panien, rzecz była opowiadana
 «z czego się bardzo śmiano, sam król się
 «śmiał z sieńców otrzymanych.»

Przy wieździe *Ludwika XI* w 1461 umy-
 ślono przy ulicy *Saint-Denis* dać widowi-
 sko bardzo przyjemne: «Przed fontanną

«*Ponceau* wiele było dziewcząt nakształt «syren, nagich, te dając widzieć swe «wdzięki, śpiewały małe aryjki pasterskie.»

Wreszcie przy wjeździe *Anny Bretańskiej*, posunięto szacunek do tego stopnia że umieszczone w małych odległościach:

«Małe grupy od dziesięciu do dwunastu «osób, dla wygody królowy i jej orszaku...»

Należy przyznać żeśmy bardzo cofnęli się od naszych ojców: nie posuwamy tak daleko szacunku.

Ale powróćmy do ulicy *Saint-Denis* w naszej epoce: jeśli nie dają się widzieć, małe grupy od dziesięciu do dwunastu osób, o których wyżej namieniliśmy ani piękne, obnażone dziewczęta pokazujące swe pierś; w zamian tego widzimy masę sklepów, magazynów bardzo bogatych i dobrze zaopatrzonych. Ulica *Saint-Denis* jest najhandlowniejszą w Paryżu; wszystko znaleźć tu można, ale szczególnie jest sławną z wstążek, piór i galonów. Na tej ulicy sklepy nie tyle są eleganckimi, mniej upstrzonymi jak w wielu innych cyrkułach stolicy. Jest tu wiele takich które od połowy wieku nic ani wewnątrz ani zewnątrz nie zmieniły. Domy te są najlepsze, najstalsze w Paryżu. *Dobra opinia więcej znaczy niż złote pasy*, ułowi dawne przysłowie; a na ulicy *Saint-Denis* często mieć będziesz sposo-

bność przyznać temu słusność. Prosty rewers wydany przez kupca z ulicy *Saint-Denis* więcej znaczy od wexlu przyjętego przez niejednego bankiera w stolicy, chociaż ten ma hotel, pojazdy, liberyą i łożę w teatrze, wszystko czego uie ma jeszcze, kupiec z ulicy *Saint-Denis*.

Uważana ze względu moralnego, ulica ta ma jeszcze zupełnie odrębny rzut oka. Widząc czynność zdającą się być zupełnie naturalną jej mieszkańcom, wielką liczbę ludzi kręcących się, pojazdów, bryk, wozów które tam się omijają, ścigają, prawie nieustannie, od rana do wieczora, ciągle handel w sklepach; zdaje się że osoba zamieszkująca w ulicy *Saint-Denis* nie może być leniwą. Chałas dający się słyszeć budzi z rana. Wreszcie nie przechodzą się po tej ulicy dla spaceru, ale tylko za interesami.

Po szarej godzinie, skoro czas odpoczynku nadchodzi, gdy pracujący opuszczają magazyny kwiatów, wstążek, galonów, spotrzeżesz przy ulicy *Saint-Denis* kręcącą się młodzież, której tualeta dość jest zaniedbaną, ludzi średniego wieku, a nawet podstarzałych.

Młodzież ma cygara w ustach, są i fajki palący; ludzie średniego wieku mają często lornetkę w ręku i bukiet pod suknią scho-

wany; starzy mają kieszenie napełnione cukierkami i ciastkami. Sposoby uwodzenia zmieniają się z wiekiem uwodziciela.

Wszyscy ci panowie ścigają Gryzetki które wychodzą z magazynów.

Młódzieź przechadza się pałac, zaglądając do sklepów, żartując między sobą, śmiejąc się często w oczy sklepowym.

Ludzie średniego wieku, więcej są umiarkowani: prędko przechodzą, rzucając ukradkowo spojrzenie w sklepy gdzie pracują ich ulubione, potem się zatrzymują, stają o sto kroków przynajmniej od sklepu, aby nie wzbudzić podejrzenia i nie skompromitować młodej dziewczyny którą blisko znają.... lub poznaćby pragnęli.

Starzy nie mają stałego prawidła postępowania: skoro nie jest się młodym nie umie się intryg prowadzić (?) Jedni kryją się w alejach, za bramami domów, czatują całe godziny nie śmiejąc nosa pokazać, w nadziei że przedmiot ich czułości wreszcie nadejdzie. Po długim namyśle, gdy się zdecydują rzucić okiem w magazyn, nie widzą już swęj lubęj, która nie spostrzeżona odeszła.

Odważniejsi stają tuż przy oknach sklepów, i nie ustępują, chyba że kto znajomy wyjdzie z magazynu; gdyż wtedy z bojaźni uciekają myśląc, że znany jest ich za-

miar, zaczynają uciekać, wpadają na ludzi, ustępując często na bruk, gdyż w pośpiechu nie widzą trotoaru, kamienia, albo psa przed nimi będącego.

Niektórzy wreszcie, ale ci są najprzebieglejsi, wchodzą do magazynów w których pracują dziewczęta im znajome...! Tu udając że ich nie widzą kupują rozmaite rzeczy płacąc bez targu. Zręczny to jest sposób, dania korzystnej o swym majątku opinii; dla tego też najczęściej celu swego dosięgają.

Panienki wychodzą z magazynów.

Młoda kwieciarka nie czeka aby amant do niej się zbliżył; ona to go śledzi oczyma i doń bieży. Rękę swą podaje młodzieńcowi, który w nos puszcza jęj dym z cygara. Nowy to jest sposób życzenia sobie dzień dobry.

Kwaciarka bardzo zdaje się być na to czułą; pochlebnie się uśmiecha do młodzieńca który zaledwie na nią spojrzy i zdaje się bydz więcej zajęty tym co pali niż tym co pod ręką prowadzi.

— Czy dawno tu czekasz mój kochany Guciu? dziewczyna zapytuje palącego... Ten jęj z twarzą znudzoną odpowiada:

— Tak jest!... przeszło kwadrans! zacząłem się djabelnie nudzić!... Gdyby moje cygaro się skończyło byłbym już poszedł!...

— Ach! niegodziwiec, to przyjemnie słuchać! Jak to byłbyś porzucił swą małą Fosinę pozwoliwszy jęj samęj wracać wieczorem ulicą *Vinaigriers*, która stała się bardzo chimeryczną od niejakiego czasu!

— Moja mała Fosina wie, że czekam zwykle na ulicy naprzeciw jęj sklepu skoro dziewiąta uderzy.... Jestem punktualny jak armata pałacu królewskiego, skoro słońce w południu. Ale nie chcę abyś kazała pół godziny czekać na siebie.... Jeśli kobiety skłonią raz że na nich czekają, obróćą to w zwyczaj bez którego obejść się nie będą mogły; a ja właśnie nie chcę abyś ty tak była hardą.... rozumiesz....

— Ale mój ty Boże, ja temu niewinna skoro co pilnego jest do ukończenia, nie dozwalamą nam wychodzić, chociażby czas już nadszedł. Dziś kończyłyśmy koronę dla narzeczonej tłustej panny.... przynajmniej trzydziestoletniej.... cała w kwiatach pomarańczowych.... tak się śpieszy zawrzyć małżeństwo z pasztetnikiem.... a kamelią w środku.... Oto masz co się zrobiło!...

— Ta! ta! ta! ta!... Co mnie w to wchodzić... Wiem że historyek dosyćbyś miała do opowiadania! Inną razą pięć minut ci daruję; poczem jeśli nie przyjdiesz, odejdę.

Dziewczyna milczy i dąsa się; młodzie-

niec milczy i pali. Idą tak aż do ulicy Vinai-griers; ale przybywszy przed mieszkanie Gryzetki, kochankowie godzą się, gdyż są w wieku w którym nie dla tego jest się razem aby się dąsać.

Daléj widzisz młodą fabrykantkę frenzli, wychodzi z magazynu. Drobnym przebiega ulice krokiem, z spuszczonemi oczyma, z miną niewiniątka. Jednakże wszystkie te pozory nie przeszkadzają jéj dostrzedz jegomości średniego wieku, który na nią o kilka kroków czeka i do niéj się zbliża.

Jegomość ten zaczyna rozmowę prawie bojaźliwie:

— Dobry wieczór Panno....

— Ah to Pan Julian.

Ludzie średniego wieku, którzy już mają ustalony byt w świecie, nie wyjawiają nigdy swego nazwiska Gryzetcie której się zalecają, przybierają imię o ile być może harmonijne.

Jegomość którego nazwano Julianem przybliża się do dziewczyny, łagodnie ściska jéj rękę, odpowiadając:

— Tak jest, byłem... tam oddawna... Widziałem pannę w magazynie,... pragnąłem z nią pomówić.... Ach pozostałbym był noc całą.... abym ciebie się doczekał.

— Ah.... to za wiele.... Nie trzeba tak na mnie czekać.... gdyby to dostrzeżono,

piękneby rzeczy mówiono w magazynie....
Panny u nas tak są złośliwe!...

— Nikt o tym wiedzieć nie będzie.... a zresztą, cóż złego że przy tobie idę?... ulica jest dla wszystkich....

— To prawda.... potem Panny te z magazynu nie wielki wstyd mają w oczach.... Jedna ma jak mówi kuzyna który cały ranek stoi w rogu ulicy.... gdzie czeka na nią aby poszła po ciasto do piekarza. Druga ma stryja który jęj dobrze życzy... daje złote krzyżyki, kulczyki!... Rozumiesz Pan... Pierwsza nasza robotnica ma ile zechce biletów na teatru!... mówi że te, krzesna matka szwaczka najpierwszėj aktorki, jęj przysła.... Ale nie daję temu wiary,.. Ach! jak jest slisko dzisiaj....

— Może pozwolisz panna służyć sobie ręką?...

— Ah! nie!... gdyby mnie spotkano z męszczyzną się prowadzącą.

— Jest już późno.... noc.... czyż to na nas zreszto zważają....

— Pawda... byłby to przypadek, gdyby... Ah! jakież błoto na ulicy.... Więc tylko do końca ulicy Pan mnie odprowadzisz.

— Wszystko co Panna zechcesz uczynię.

Jegomość wziął wolno rękę Panny Felicji na co ta zezwala, ale wkrótce opiera się czule na swym kawalerze, który do nięj

z bardzo bliska mówi, patrząc w oczy; nie szli dziesięć minut a już się porozumieli i nie mówią więcej o rozejściu.

Ale patrzmy dalej na ulicę *Saint-Denis*... ktoś to wychodzi tak nagle z magazynu mód, głośno się śmiejąc, co panny zostające w magazynie powtarzają? Jest to dziewczyna nie ładnej twarzy, ale dobrze zbudowana i zgrabna.

Z trzaskiem zamknęła magazyn i idzie wyśpiewując ustęp z wodewilu. Nie przeszła jak dziesięć kroków, a otrąca o starego człowieka który na nią czychał i biedz na przeciw niej zamyślał.

— Ah jak to źle tak na ludzi wpadać.

— Dobry wieczór, Panno Aspazio.... jakżesz się masz....

— Ah to Pan!.... załedwieś mnie Pan nie przewrócił!

— Czychałem na Pannę a spostrzegłszy biegłem....

— Ah! tak? a ponieważ nie jesteś Zefirem, o mało żeś mnie nie przewrócił....

— Jakże zdrowie, piękna Aspazyo?...!

— Ah! zupełnie dobrze... codziennie tyję bardziej.

— Jakżesz szczęśliwa jesteś!... nie masz zmartwienia.... nie cierpisz jak ja....

— Ah! Pan cierpisz.... cóż boli?

— Ah! nie... to miłość, miłość moja ku tobie niszczy mnie! wysusza.

— Istotnie!... miłość Pana wysusza.. nie znać tego z brzucha....

— Żartujesz sobie, opadłem z ciała do połowy, od czasu jak do ciebie wzdycham...

— Dobre to wet za wet, ale.... Ah Boże jak mi coś dokucza w żołądku.

— Pozwolisz służyć sobie tém ciastem które dla ciebie kupilem?

— Proszę.... czy tylko miękie.... thum... nie bardzo.

— Kiedyż pozwolisz się do teatru zaprowadzić?

— Później o tém pomówiemy!... teraz pić mi się chce!

— Czy weszłabyś do téj kawiarni, ale zemną.... wziąć.... cośkolwiek?

— Dla czegoż nie? nic nie ma złego orzeźwieć się w kawiarni.

Wchodzi więc Gryzетка do kawiarni z tymże jegomością; prosi o lemoniadę; potem pozwala dać ponczu, a kończy bawaruasem na czekoladzie. Przytém je biszkopty i makaraniki, niedając żadnej uwagi na mowy swego wielbiciela, który ciągle o doznawanych boleściach prawi. Gdy już się zupełnie najadła i napila wstaje, opuszcza kawiarnię i odchodzi. Stary podaje jęj rękę,

ona się na to nie zgadza, pod pozorem że ją błotem zbryzga. Nadchodzą przed paszternika, każe sobie kupić pasztet na jutrzejsze śniadanie. Wreszcie przybywszy do drzwi swego mieszkania, zamyka je pod nosem towarzysza drogi, mówiąc:

— Adieu, dobra noc.... Jeśli Pan jutro przyjdiesz po mnie, miejżesz z sobą cukierki w kieszeni.... ja to lubię.

Kilka jeszcze innych zdarzeń które odgadniesz, otóż co się dzieje każdego wieczoru o godzinie, w której Gryzetki wychodzą z swych magazynów przy ulicy *Saint-Denis*.

Po handlu, przyjemność; po pracy, miłość; prawie we wszystkich cyrkulach handlowych ma to miejsce.

STATKI PRACZEK.

MÓWIA że rzeka płynie dla wszystkich; powinnaby płynąć wyłącznie dla tych biednych kobiet zajętych cały dzień praniem.

Statek jest wielki, długi, okryty płutnem na drągach drewnianych wspartém, wszystko to wystawione na zimno, wiatr, deszcz i inne nieprzyjemności jesienne.

Jeszcze gdyby tylko w lecie prano, w czasie wielkich upałów!.... stan praczki miałby powaby.

Ale pierze się w każdej porze roku, nawet w największe mrozy. W czasie gdy lo-

dy pokryły wodę; rozbijają go wtedy przed statkiem, aby prac można.

Praczkі klęczą na statku, umieściwszy nogi w pewny rodzaj pudełka drewnianego, całe schylone nad wodą tak dobrze, że pojąć nie można jakim sposobem część ciała wyższa nie przeważy téj która jest... z tyłu; ale zdarzenie to nigdy prawie nie ma miejsca.

Nie sądz aby kobiety które to przykre zatrudnienie obrały, uskarżały się na swój los; przeciwnie słyszyć je możesz prawie zawsze śmiejące się, śpiewające. Nie ma nigdzie weselój jak na statku praczek.

Damy te mówią zawsze; jeśli nie jedna to druga; często wszystkie razem. Chcesz powziąć o tém wyobrażenie? Posłuchaj:

— Widzisz jak zabryzgała się!...

— Gardzi omnibusem.

— Koszula panicza... cienka z przodu... gruba z tyłu... Zwierz się tym panom... wszystkie ich słowa są tego rodzaju...

— Oh! doświadczyńska, wsuwa tak wysoko pończochy na nogi!.. Otóż masz oszczędność....

— Jak jest się szczęśliwą, wesołą w lasku *Romainville*! A więc! gdybym miała sześć kamizelek dobrych tak jak ta co piorę....

— Ba, daj pokój! bałabyś się złodziei, nie mogłabyś wyjść z mieszkania.... Zebra-

ki są szczęśliwi, lubią się nawzajem.... jeśli się nie biją.

— Właściciel tych spodni często klęczyć musi.... zawsze na kolanach są podarte.... Jegomość ten wielkim musi być galantem!

— Ah sądzisz że klęcząc przed swą lubą dziurawi spodnie?... Dziecinną jesteś.... To niezawodnie grając w *siam* wyciera kolana.

— Spodnica z trzydziestu sześciu kawałków.... Dobra dla Arlekina.

— Ah! Boże! rąk nie czuję!

— Czuję dobrze mój żołądek!

— Cóż masz dziś na obiad?

— Tylko dwie potrawy. Jeśli chcesz mi towarzyszyć, to cię proszę.... Nie strój grymasów.

Takie prowadząc rozmowy praczki czas zabijają; zapominając o swęj biedzie, wesoło pracę kończą.

Przyjdź zaś na statek, zawiadomij je tylko że jedna z ich koleżanek jest cierpiącą i bez chleba, wszystkie, takie nawet którym brakuje, znajdą sposób przynieść pomoc tej która pracować nie może.

NOTRE-DAME DE LORETTE.

W GŁĘBI przedmieścia *chaussée d'Antin* na końcu ulicy *Laffitte* jest mały śliczny kościółek, niebiesko malowany, z gotyckimi oknami, w dobrym guście, ozdobiony portretami pierwszych naszych malarzy, dywanami, krzesłami, które zdają się być politurowanemi, kaplicą prostą, pięknie ozdobioną; wreszcie wszystko na około ma postać dobrego tonu, budzącą w duszy tajemną radość.

Powiedziano że uczęszczający do *Saint-Lorette* są elegantami, a kobiety, piękniej-

sze tu, niż gdzie indziej uczęszczają.... to wcale nie jest złém.

Mówiono że przychodzą tu same kokietki.... Jeśli to grzech, idą niewątpliwie do kościoła dla jego odpokutowania.

Mówią iż młodzi fanfaroni z cyrkułów dalekich chodzą do tego kościoła, gdyż spodziewają się tu znaleźć piękne kobiety.

Ale wielbiąc stworzenie czyż nie uwielbia się także Stwórcy?

Mówiono o nim massę rzeczy!...gdyż w Paryżu skoro tylko zjawi się monument, wychodzący z szeregu pospolitych, bądź to architekturą, bądź rozmiarem, bądź sposobem ozdobienia wyższy, trzeba aby o nim mówiono.

Ale czyż nie jest naturalnem upiększać, ozdabiać, rokosznym zrobić przybytek Stwórcy?

A któż ma dobrze mieszkać jeśli nie ten który rozdziela na ziemi chaty i zamki! poddasza i pałace?

SZYNKOWNIE I DYWANY.

Od czasu jak w Paryżu zaczęto palić fajki należało ustanowić w mieście wielką liczbę szynkowni. Jednak w większej liczbie kawiarni jeszcze nie palą fajek. Ci którzy wielkie wyłożyli summy na ich ozdobienie nie pozwalają aby fajki lub cygara zanieczyszczały w krótkim czasie ich obicia, malatury i pozłotę.

Szczęściem że gust elegancyi, powierzchowności, chęć brylowania i uwodzenia oczów zbytkiem, nie zaginęła jeszcze między Francuzami; bez tego byłyby w Paryżu szyn-

kownie zamiast kawiarni, i uważaćby się można raczej w Niemczech, Flandryi lub Hollandyi niż we Francyi. Rzeczą jest godną uwagi, że zwiedzając w Paryżu miejsca w których fajki palą, znajdujemy zawsze ludzi mówiących o swój ku ojczyźnie miłości, którzy starają się przyjąć sposoby i zwyczaje cudzoziemców! Biedni Paryżanie! więcej do Francuzów jesteście podobnymi gdy nie palicie fajek!

Wejźmy do szynkowni. Gorąco i duszno tam zawsze, ale jeśli lubisz zapach tytoniu, oddychasz tam z przyjemnością.

Prawie wszystkie stoły są zajęte: tu piwo piją, tam wino, dalej kawę, likiery. Nie biorą wcale lodów w szynkowniach, mało piją lemoniady i bavaroisu. Co chwila krzyczą: — Ognia, chłopcze!... chłopcze ognia! Czytają gazety, rozmawiają, częstokroć fajka zostaje w szynkowni, ale każda jest numerowaną, albo palący robią na niej znak; w ogóle trudno jest zamienić: dobry palacz zna dobrze swą fajkę a często lepiej niż swą metrese, i nigdyby pierwszej nie poświęcił dla drugiej.

Grają w bilard, pule, w karty; pikiet i ekarte wcale z szynków nie są wygnane. Skoro chcesz grać w karty, chłopiec kładzie na twym stoliku deskę czworograniastą po-

krytą zielonym suknem, i natychmiast masz gotowy stół do gry.

Również wiele grają w domino po szynkowniach; partyami po czterech; nieustraszeni gracze rzucają sobie nawzajem kości z kłębami dymu. Partye we dwóch, zwykle bywają poważne. Przeciwnicy już wiele wypróżnili butelek, ustawionych symetrycznie na przeciw domino, co dowodzi że walczący czuli często orzeźwienia się potrzebę.

Uczęszczający do szynkowni nie wiele dbają o swą toaletę.

Prawdziwy palacz jest filozofem jak Dyogenes, nietroszczącym się o nic jak Bias; byle miał z sobą fajkę i tytuń, obejdzie się bez wszystkiego. Nie potrzebuje pieniędzy, bo i bez nich pić może ile zechce, gdyż między palaczami jest pewne braterstwo, wzajemna uprzejmość, tak między ludźmi rzadka, a która może pociąga do fajki.

W ostatnim razie palacz może się obejść bez tytoniu; głównem jest aby miał fajkę!... tę dobrą fajkę!... która tym jest dla niego czem dla Hiszpana puginał z Toledy; resztę znajdzie w szynkowni.

Patrz na tego człowieka, dobrze zbudowanego chociaż zbyt muskularnego; w jego minie, obrocie, poznajesz uczęszczającego do szynkowni. Dobrze jest odziany,

ale surdut jego granatowy i spodnie szaraczkowe, nigdy nie były tknięte szczotką. Na szyi czarną ma chustkę, z pod niej nie widać ani kawałka kołnierzyka. Surdut jego zapięty od spodu do samej góry, nie dozwala widzieć kamizelki. Buty jego są bez glansu, kapelusz dobry i prawie nowy; nosi go na boku z pewnym rodzajem fantazyi; twarz jego świeża i żywa jest obrośnięta faworytami naokoło szyi zapuszczonemi. Oczy ma żywe, poruszenie prędkie, głowę trzyma do góry, postępuje śmiało i lekko nakształt tarabanczyka co ściąga uwagę kobiet.

Jegomość ten wchodzi do szynku. Natychmiast ze wszech stron słyhać okrzyki:

— Otóż Pan B....! przychodzisz więc!... spóźniasz się... już grano trzy pule!

— Piękna już partya we czterech była.

— Patrz, umiesz tak ładnie fajkę oprzyć?

— Zapewnieś przechadzał się z swą ulubioną....

— Włuczyl kule, mówi inny!

— Czy paliłeś cygaro?

— A cóż o tém powiesz, masz cygaro ogromne.... Sześć sous!... Ale takie prawie jak marchew.... przynajmniej czuje się coś w ustach.

Na to wszystko nasz palacz poprzestaje, odpowiadając ściśnięciem ręki lub kiwnię-

ciem głowy; potem przechodząc prędko po szynku rzecze tonem rozkazującym:

— Któż mnie pożyczty tytuniu?

— Ja....

— Ja....

— Masz go....

— Weź go z mego worka.

Na wszystkie te oświadczenia tyle chętnie mu czynione, nasz palacz odpowiada z wielką spokojnością:

— Zobaczymy.... Ah od ciebie nie wezmę! ty zawsze zły masz tytuń.... a potem dziesięć razy żądasz jak raz pożyczysz.

— Cóż to ci szkodzi, skoro nigdy nie oddajesz.

— A więc wezmę i daj mi pokój....

Jegomość ten doskonale napakował fajkę; woła chłopca, każe dać sobie ognia, zapala, puszcza kilka razy dym dla zapewnienia się czy dobrze ogień zajął, kładzie się na ławce przy stole zajęтым przez dwóch graczy w ekarte, którzy we dwóch pięć butelek piwa wypróżnili; tu z przyjemnością jakiś czas pali fajkę, potem od razu woła:

— Mam pragnienie, któż mi da pić!...

— Ja....

— Ja....

— Masz jeśli chcesz wino?

— Masz czy chcesz piwo?

— Naprzód napiję się piwa.... Chłopak

przyniesie Panom piwa, już nic nie mają.... Czyż to tak pozwala się gościom na sucho siedzieć!.... Graj kochany przyjacielu, pik graj.... gdzieś palił.... Ah sacrebleu! nie jesteś mocny w tej grze!

A radząc tak jednemu z graczy w ekarte, panicz ten z nową butelką piwa, którą chłopiec przyniósł, napełnia szklanki, starając się ile można najmniej w swoją wlać piany.

Wypiwszy kilka butelek piwa, siada przy drugim stole, przy którym grają w domino i piją wino, przynoszą mu szklankę; poprawia graczy, gaworzy nad partjami, i nieustannie wypróżnia i nalewa swą szklankę, a często i drugich.

Następnie przechadza się około bilardu, w który mało grywa; ale dotyka miłości własnej grających tak dalece że nie ma chwili aby jeden do drugiego nie mówił:

— Zdaje mi się że tę partję wygram.

— Mnie się zdaje że nie....

— Zakładam się że nie.

Wtedy nasz palacz woła:

— Ah panowie załóżcież się więc o co...

— Zobaczymy.... O obiad.... o obiad dla nas trzech...

Istotnie, ci którzy grają za wielką to rzecz nie biorą, ani zbyt seryo; a skoro partja skończona, ten który przegrał niespodzianie usłyszy:

— Przegrałeś jeden obiad?

— Jak to?

— Tak, tak, grałeś o obiad; przegrałeś go... ja przy tém byłem, to rzecz pewna.

Tym sposobem nasz jegomość znajduje prawie zawsze sposób, bez pieniędzy, mieć śniadanie, obiad i inne rzeczy które w szynkowni się znajdują; i tym sposobem wolno, wśród dymu życie pędzi. Gdybyś mnie jeszcze zapytał jaki jest stan tych panów, to bym ci odpowiedział: Nie wiem, ale cały dzień siedzą w szynkowniach, i jest w Paryżu wiele osób które nic innego nie robią i nie mają innego zatrudnienia prócz obszywania fajek.

Zakłady tego rodzaju w Paryżu najbardziej uczęszczane, są: *Flamandzki* przy bulwarze Saint-Martin; *Grand-Balkon*, przy bulwarze des Italiens naprzeciw ulicy Lafitte, *Brasserie anglaise* przy Pałacu Królewskim, i *szynk Paryża* położony przy bulwarze Montmartre, naprzeciw teatru rozmaitości. Otatni jest schadzką wielu artystów, a mianowicie aktorów teatrów sąsiednich, którzy często przy chodzą tu, jeść kolacye po widowisku; tutaj dopiero się śmieją, opowiadają tysiące żartobliwych anegdot, błazeństw, a nawet, rozmowy są tu często dowcipne. Wszędzie gdzie są artyści, znajdujemy tę francuzką wesołość, tak rzadką w szynkowniach.

Przejdźmy do *Dywanów*.

Dywan jest szynkownią *Lwów*, *Dandych*, *paliowych rękawiczek Paryża*. Jest to kawiarnia gdzie tylko cygara się palą; fajki wcale nie mają pobłażania. *Dywany* rozpostarte naokoło sali pozwalają przybywającym po turecku się rozkładać, a paląc pachnące cygaro, masz prawo uważać się na wschód przeniesionym. Tylko *Bayaderrek* brakuje aby w *Dywanie* była zupełna iluzya. To niewątpliwie nadejdzie. *Paryż* już widział prawdziwe z *Indyi* tancerki na jednym ze swych teatrów (rozmaitości). Nie byłoby nic dziwnego aby je do naszych *Dywanów* sprowadzono.

Wiele jest *Dywanów* w *Paryżu*: *Braserie anglaise* jest szynkiem na pierwszym i drugim piętrze, a *Dywanem* na trzecim. Przejście panoramy ma *Dywan* w swęj galerii, oświetlony drzewem pozłoconym, w środku sali naksztalt żyrandola umieszczonym. Ztąd rozchodzi się światło. Ale najświetniejszy *Dywan* jest w przejściu de l'Opaira. Mieszczący się w cyrkule *Lwów*; *Dywan* ten powinien koniecznie być przyjętym przez modę. *Panthery* i *szczury* nieustannie tu krążą, a rzecz szczególna że nieobawiając się *Lwów* ciągle starają się złapać ich w swe sieci.

PODDASZA.

CHCIAŁBYM tylko mówić wam o *poddaszach* obfitości, byłoby to bardziej wesołym; te są na bulwarze Bourdon, gdzie dawniej był ogród arsenału. Poprzednio były tam składy soli; zniesione podczas rewolucyi. Sądzili wtedy Francuzi iż nigdy im na soli niezbędzie, i że naprzód nie potrzebują zbierać zasobów.

Wejdzmy na te *poddasza*; tu się mieszczą ci, którzy nie są w stanie mieszkać na *facyatach*, znajdziemy tu jeszcze wiele innych osób... gdyż tu poprzestać można na słomie,

starych meblach, owocach... Właściciele domów w Paryżu korzystają z najmniejszego kąta, gdyby piwnice nie były niezbędne dla składu wina, niezawodnie i tam mieszkania by zrobili.

Wyrobnicy, Gryzetki, studenci, artyści, poeci, często na *poddaszach* mieszkają; jest tu mieszkanie nieszczęśliwych nic nie zarabiających, niemogących znaleźć urzędu czy też innego zatrudnienia.... Ale często wyrobnik pracowity mając żonę z trojgiem dzieci, jest skłoniony umieścić ich na *poddaszu*, gdyż jego praca zaledwie wystarcza na wyżywienie rodziny i na zapłacenie najędzniejszego mieszkania.

Gryzetka ma w swym położeniu obfitość i nędzę, los jej podlega częstym zmianom. Dzisiaj mieszka na dole, jutro przeda meble aby wyświadczyć kochankowi przystupę i przeniesie się na facyatkę, w kilka potem dni sprzeda suknie, sprzęty, bieliznę, aby pójść tańczyć do *Chaumiere* i na obiad do *Prés Saint-Gervais*, w końcu przeniesie się na *poddasze*, ale tu tak jak i gdzie indziej wesoła; śpiewać będzie, bawić się....

Jeśli płaczą na *poddaszach* zamieszkałych przez biedną rodzinę której brakuje chleba, przez starca osłabionego leżącego na ławie, na której nie ma czym się okryć, przez biedną matkę która nie ma za co kupić lekarstw

dla chorego dziecka, na *poddaszu* domu sąsiedniego; student śmieje się i dokazuje z Gryzetską, artysta częstuje trzech przyjaciół, i na jednym wieczorze traci z niemi to co mu rodzice na cały miesiąc przysłali; wreszcie poeta tworzy tu tragedya która mu majątek ma zjednać i nieśmiertelności podać.... Wtedy mieszka on nie na *poddaszu*. Cóż go obchodzi opadające ze ścian obicie, wiatr który ze wszech stron do niego zagłada, on nic nie widzi, nie słyszy, nie czuje.... powtarza swe wiersze.... jest w pałacu w Atenach lub Rzymie, jest w trzecim niebie! istotnie najbliżej niego mieszka.

Ale w wielkim tym mieście w którym nie-szczęście, majątek, praca i przyjemność częstokroć pod jednym dachem przemieszkują, egoizm jeszcze serc nie zakamienił, owszem dobroczynność jest cnotą najpospolitszą najnaturalniejszą w Paryżanach; Gryzетка opuści prędko swe zatrudnienie aby nieść pomoc cierpiącemu sąsiadowi, student da to co posiada, nawet elegantka z pierwszego piętra, panicz z drugiego przybędą śpiesznie, z pomocą cierpiącemu na *poddaszu*.... jednakże pod warunkiem, aby to im wiele nie zabrało czasu i aby prędko mogli powrócić śmiać się, tańczyć i bawić. Paryżanie chcą być wzruszonymi, rozczułonymi.... ale nie na długo.

Béranger mówi w jednej z nieśmiertelnych swych śpiewek:

Dans un grenier qu'on est bien a vingt ans!

Myśl ta bardzo może być pocieszającą! ale jest też prawdą że i w dwudziestym roku, piękny pokój, umeblowany, czysty, zdrowy, jest lepszym od strychu w którym mimo całej wesołości francuzkiej częściej łyż niż śmiech widzieć można.

W I A T R.

JĘŚLI lubisz obrazy wesołe, komiczne, łytki dobrze zbudowane, przejdź się po Paryżu w czasie wiatru.

Zobaczysz przemysłnych którzy rozłożywszy obrazy, ryciny na publiczném miejscu, biegną za nimi gdy je wiatr unosi.

Zobaczysz szopy wywrócone; baraki swych właścicieli duszące, nieczystości z kominów na przechodzących upadające; dobrych mieszczan goniących swe kapelusze, które nie dość dobrze nacisnęli na głowę; stare kobiety drżące, gdyż wyobrażają so-

bie że wiatr ich uniesie, i małe dziewczęta uszczęśliwione ze wiatr ich porywa.

Częstokroć umawiają sobie schadzkę miłosną wzdłuż brzegu lub nad kanałem. Patrz na tego męszczyznę wieku podeszłego, ubranego jednak jakby miał lat dwadzieścia! Przechadza się oddawna na Jemmapes, przed kanałem Saint-Martin, czeka na Gryzetkę z którą zawarł znajomość wczoraj w teatrze *Délassements comiques*; w tym miejscu oznaczyła schadzkę; pomimo ogromnego wiatru czeka w oznaczonym miejscu; nie ruszy się mimo wszelkiego nadejść mogącego niebezpieczeństwa.

Mówią że dla zakochanych:

Lato nie ma wcale skwaru, zima bynajmniej lodów.

Możnaby dodać że jesień nie ma wcale wiatru.

Gryzetka wreszcie nadchodzi, zakochany naprzeciw niej bieży; młoda dziewczyna która go tylko przy świetle widziała, znajduje go brzydkim we dnie; wacha się, nie wie czy ma przyjąć pyszny obiad który jej zaproponował; gdy wiatr nadszedł zlatuje kapelusze eleganta, ale co gorzej, że wraz z peruką, która bardzo sztucznie zrobioną była i udawała doskonale naturalne włosy.

Jegomość którego głowa została jak ser holenderski bieży po swą perukę i kape-

lusz, ale skoro doścignął je i okrył głowę, nie ma już Gryzетки.

Wiatr uprowadził zdobycz temu jego-
mości. Ale co jest jeszcze przyjemniej wte-
dy widzieć, są to młode kobiety: wiatr je
więcej kłopotczy niż mężczyzn. Jeśli z ty-
łu wieje, suknie do ciała przyciska; z dale-
kaby powiedziano że damy te są w spodni-
cach; niekiedy zakradając się wiatr w fał-
dy unosi część sukni, widać wtedy nogi,
kolana... nie masz przyczyny aby nie by-
ło można i coś więcej zobaczyć. Biedne da-
my starają się osłonić; ale gdy to czynią
z jednej strony, wiatr suknię z drugiej pod-
nosi.

Jeśli wiatr wieje z przodu, oczy twe na-
pełniają się kurzem; niekiedy rozchuka-
ny zefir zrzuca kapelusz metresy, która po-
winna jeszcze bardzo się widzieć szczęśli-
wą jeśli wiatr razem fryzury nie uniósł, ró-
wnocześnie zaś dostrzega rumieniąc się, że
kolana jej widać.

Mężczyźni nie są ostatniemi w dostrze-
ganiu tego wszystkiego; wielcy amatorowie
stawają na bulwarach, brzegach rzeki, mo-
stach, gdyż w tych miejscach wiatr najgwał-
towniej wieje.

O moje Panie, które zmuszone jesteście
w czasie dużego wiatru przechodzić Pont-
Neuf albo Pont des Arts, dawajcie na swe

suknie uwagę; jeśli macie parasol nie otwierajcie go, gdyż w większym jeszcze będziecie kłopotcie: wasz parasol będzie tulipanem, a gdy starać się będziecie powrócić go do naturalnego stanu, wasze spodnice również tulipan utworzą.... to daje się widzieć....

A nie rachujcie w takim razie na pomoc męszczyzn; przeciwnie śmieją się zachwyceni tém co was spotyka. Dla pocieszenia jednak możecie to wiedzieć że inną razą panowie ci was spotkawszy nie poznają, gdyż zwykle w czasie wiatru nie na twarz waszą.... mają oni zwyczaj spoglądać.

WYJŚCIE Z TEATRU.

WIELU ludzi w Paryżu nigdy nie idą na teatr, ale nieomieszkają być przy wyjściu z niego; a czemubys z trudnością uwierzył, to że ci ludzie lepiej znają graną sztukę od osób wychodzących z teatru.

Zrozumiesz to jednak wiedząc że w liczbie widzów zapełniających teatr, jest wielu którzy przyszli jedynie aby się przypatrzeć publiczności, przezierać wszystkich swobodnie, rozmawiać, rozerwać się, patrzeć na aktorki i na wszystko to co żadnego nie ma związku ze sztuką.

Młodzik który wszystko wydaje na garderobę, ale nie ma sposobu bywać na operze, idzie pod przysionek teatru na kilka chwil przed ukończeniem widowiska. Gdy wszyscy wychodzą on również udaje że opuszcza teatr; kładzie rękawiczki, zapina się patrząc w około siebie, starając się widzieć i być widzianym. Jeśli kogo ze znajomych zobaczy to woła:

— Ah! dzień dobry, mój kochany!... Jak to byłeś również na operze? nie widziałem cię!

— Ja również ciebie.

— Byłem wszakże na balkonie. Bardzo zadowolony... piękna muzyka! śliczna muzyka!

— Czy pierwszy raz byłeś na tej sztuce?

— Oh wielki Boże! Widziałem już ją przynajmniej dwadzieścia razy.... nigdy się nie nudzę.

Inny znowu lornetuje damy, przypatruje się tualetom, fizognomiom aby później mógł powiedzieć:

— «Oto osoba którą często widuję w teatrze rozmaitości. Stary ten jegomość prawie zawsze bywa na operze.»

Ci którzy lubią mocne wzruszenie, a nie mają sposobu zjednać to sobie kupując kontra-markę, tu zbierają wiadomości o sztuce; często zapytują o nie nawet

lampucerów na służbie będących, a gdy zdołali pięć lub sześć zebrać opinii, dosyć wiedzą aby odgadnąć całą intrygę sztuki, i zupełnie są zadowoleni; nawet bywa że opowiadają innym to, czego sami nie widzieli. Widząc ich późno wracających do domu, mówiących że idą z widowiska, pytają się ich o wartość sztuki; służąca dając światło nieomieszka zapytać:

— Jesteś Pan zadowolony.... dobrze poszło?

Zapytany który tylko był przy wyjściu z teatru przybiera postać śmiałą odpowiadając:

— Czy dobrze poszło.... tak!... aż do końca.... intryga sztuki jest dobrą.... trochę.... nie ma związku, ale w ogóle dobrze poszła.... zdanie to jest powszechnie.

Przy wyjściu z teatru z twarzy wielu osób widać wrażenie doznane przez widowisko.

I tak widzisz młodą dziewczynę z dużymi oczyma, płakała; gdyż w sztuce kochanek zdradził swą ulubioną żeniąc się z drugą, ona się czuje w tym samym położeniu, gdyż od niejakiego czasu kochanek o niej zapomina; obawia się więc aby tak jak zwodziciel którego widziała na scenie, z nią nie uczynił.

Ta znów dama jest blada, opiera się na rękę

męża. Grano sztukę w której cudzołozstwo, podstawa intrygi, otrzymuje w końcu surową karę. Dama ta była bardzo słabą przez ciąg całej sztuki; znajdowała przedstawienie zbyt długim niegodnym powtórnego widzenia.

Widzisz kobiety w czepkach, indyjskich sukniach, śmiejące się jeszcze zchodząc ze schodów; śmiały się w ciągu całego widowiska, grano zaś dramę bardzo smutną; ale są osoby które wszystko z dobrej biorą strony.

Widzisz człowieka małego wzrostu, siny, zagniewany, okropny wzrok na około siebie rzuca starając się wydobyć z tłumu który go dusi. Jest on zły, zdesperowany, gdyż w wodewilu na którym był, są żarciki z czapek wełnianych, których nakupił masę dla założenia z nich pewnego rodzaju handlu; staje na palcach, na całe garło wołając:

— To okropnie! Niegodziwie!... nie dozniesienia?... Wodewiliści wszystko teraz sobie pozwalają. Niemasz już więc cenzury!... Jeśli jest, dla czegoś znieść może aby śmiano się z czapek wełnianych, szydzono z nich.... Ja je sprzedaję... chcą więc abym sklep zamknął.... abym zbankrutował... Pójdę jutro na skargę do mego kommissarza policyi... Zaniosę prośbę do izby deputowa-

nych.... Rząd musi protegować czapki wełniane... dokażę że teatr zamkną.

Obok tego człowieka, którego gniew rozśmiesza wszystkich go otaczających, dama młoda i piękna, eleganckiej, wdzięcznej postaci, podaje rękę jegomości nie młodemu, który stara się wraz z nią czem prędzej wyrwać z tłumu.

W oczach damy tej jest tyle czułości, usta tyle mają przyjemnego uśmiechu, iż niepodobna aby to wszystko do kogoś się nie ścierało. Kobieta piękna, jest nią zawsze, ale są chwile w których jest daleko piękniejszą a to wtedy gdy spostrzega że nową złowila zdobycz, która się jej podoba. Wtedy widać na pięknej tej twarzy kokieterią która wyraża przyjemność, czułość i rozkosz nieokreśloną; zwykle wszystko to nie nadaremno się czyni.

Spojrzyj z tyłu pięknej kobiety a odgadniesz dla kogo jest ten śliczny uśmiech, spostrzegasz przystojnego chłopca dwadzieścia ośm do trzydziestu lat mającego, dobrze ubranego, chodzącego bardzo blisko sukni tej damy.... tak że czasem na nią następuje.

W teatrze panicz ten umieścił się za tą piękną osobą na galeryi; nie mógł do niej mówić, gdyż szkaradny męszczyzna a mogący, być jej mężem nie oddalił się na chwi-

lę; ale oczy w wielkim były ruchu, rozmowa ich zdawała się bardzo byź ożywioną. Po wyjściu, młodzieniec szedł tuż za damą; bardzo jest niebezpiecznem wychodzić z teatru gdyż w massie dama powszechnie nie może przeszkodzić aby obca ręka nie dotknęła jęj ramienia, a często i czego więęej.... aby jęj nie powiedziano kilka słów do ucha; są nawet śmiałkowie którzy wsuwają romansowe bileciki w rękawiczkę, w kieszeń, za gors, a kobieta w zbyt wielkiej jest massie, aby temu przeszkodzić mogła.

Gdy jest się w teatrze z damą której piękność albo zgrabność, zwraca uwagę, rozsądnem jest czekać póki publiczność nie wyjdzie.

Tam znów widzisz człowieka z liczby hulaków. Panowie ci idą do teatru dla zabrania znajomości, i przeglądają go od spodu do wierzchu, kończąc z zyskaniem tego co szukali.

Istotnie Panowie ci nie są w wyborze trudni, jeśli nie znajdą kobiety któraby odprowadzić się dała, odprowadzają otwierającą lożę albo sprzedającą kwiaty.

Jeden z nich, średniego wieku, brzydki, twarzy złe obyczaje malującej, którą pospolicie kobiety przekładają nad inne, tualety dość zaniedbanęj, udaje eleganta, chociaż wcale na to nie wygląda, brodę scho-

wawszy w krawat, przegina się, liże wargi końcem języka zadowolony z siebie; rozmawia z dwoma Gryzetskami, którym w czasie entr-aktu ofiarował pomarańcze, co przyjęły bez żadnej trudności; w tej chwili myśląc czy ich wziąć do kawiarni, maca cię po kieszeniach.

Drzwi wyjścia przechodzą tłumy; a ze wszech stron słyszysz:

— Oto powóz mój panie.

— To mnie nie zabawiło.

— Ja nie lubię sztuk gdzie śmiać się trzeba, idę na teatr by płakać.

— Gdzież jest nasz mały?... .

— Tu... przed nami.

— Pojazd mój Panie!

— Trzy kwadranse na dwunastą! to za późno, nie będzie się o dwunastą u siebie!

— Czy Pani nie będę mógł służyć...

— Baczność, patrzą na nas.

— Zawołaj służącego.

— Czy mam zawołać dorożkę?

— Byle tylko mój odzwierny już nie spał.

— Siedziała przy mnie dama, która ciągle kaszlała.... to nie do zniesienia.

— A ja.... miałem przy sobie jegomościę, który ciągle na mnie kichał... stara małpa! jakby.....

— Pozwólcież panny się odprowadzić!

— Bardzo Pan grzeczny....

— Któż żąda pojazdu?

— Jutro o drugiej godzinie... będę w ogrodzie Pałacu Królewskiego....

— Dosyc.

— Oto dorożka... niech Pan wsiądzie...

— W tej łoży jest się bardzo nie wygodnie... nogi mi ścierpły.

— Czyżby Panny nie pozwoliły sobie słuzyc szklanką ponczu?...

— Ah! mój Boże! zapomniałem parasola z bióra kontramarek!...

— Cóżto że zawsze musisz się wracać?

— Ale mój kochany... mój szal zawadził się o suknię tego pana.

— Dobryś! kalosz mi spadł.

— Nie zapomnij komisionera.

Dla skompletowania obrazu, pogoda dotąd ciągle trwająca, nagle się zmienia, deszcz ogromny pada przy wyjściu z teatru.

Wtedy damy nie chcą opuszczać kolumnadę; męszczyzni idą po pojazdy, a przynajmniej po parasole, ale pojazdu zwykle rzadko dostać można gdy go potrzeba. Jeden wysyła komisionera po pojazd, pojazd przybywa, inny wsiadł w czasie gdy pierwszy poszedł po swą damę. Kszyczy i skacze do woźnicy; osoby które w siadły nie chcą wyjść, klóćą się. Tymczasem inni nie zważając na deszcz odchodzą. Szkaradny męszczyzna mający pod ręką piękną ko-

bietę, którą musiał opuścić aby zawołać pojazd, nie znajduje damy znalazłszy dorożkę. Szuka jęj napróżno, wreszcie postanawia odjechać, ale jest niespokojny; sam w dorożce, co chwila wysuwa głowę, każda dama którą spostrzega zdaje mu się być jego żoną, każe woźnicy się wstrzymać a wysuwając głowę z pojazdu, woła:

— Czy to ty moja kochana?... Nie ma odpowiedzi, albo też pan idący z damą którego ciemność przeszkadza dostrzedz, odpowiada surowo:

— Jak to, czyż Pan wołasz moją żonę?... cóż to ma znaczyć?...

— Ah! przepraszam Pana, szukam méj małżonki którą zatracilem wychodząc z teatru, a w cieniu.... sądziłem...

— Należało wprzód dobrze się przyjrzyć mości Panie, niezaczepiać przechodzących... Czyż to kto słyszał?.....

Biedny mąż miesza się w tłumaczeniu, kryje w dorożce mówiąc do woźnicy: Jedź... omyliłem się...

Woźnica popędza, z początku wolno jadąc słyhać się daje: cymbał, dureń! wymówione przez małżonka przechodzącego, co dochodzi jeszcze do uszów nieszczęśliwego męża który wszelkie czyni usiłowanie aby tego nie słyszał.

Wreszcie stanął, daje woźnicy za jeden kurs, ale ten mówi:

— Czyż to Pan żartujesz, płacić mi za jeden kurs, gdyś mię Pan zatrzymał cztery czy pięć razy na drodze; to powinienem za pięć kursów policzyć, ale ja dobre dziecko, zapłacisz Pan za godzinę.... i dasz na piwo... wszak to już po północy?

Jegoomość musi życzeniom woźnicy zadość uczynić. Spieszy się do siebie, sądzi że już zastanie małżonkę; ale jeszcze nie wróciła.

— Czyż mogę się położyć mój Panie, pyta sługa?

— Ah! nie, czyż myślisz że moja żona na noc nie przyjdzie!?

W godzinę Pani przybywa, bardzo zagniewana, wzruszona, dokazuje sceny z małżonkiem, wyrzucając mu że źle ją szukał i że sama wracać musiała. Tak tedy mąż musi prosić o wybaczenie.

Widzicie więc, że w Paryżu nietylko w teatrze jest widowisko ale i przy wyjściu.

HANDLARZE WIN.

NIEZMIERNA jest liczba handlarzy win; co nie powinno cudzoziemcom dawać wyobrażenia korzystnego o wstrzemięźliwości mieszkańców tej stolicy.

W zaludnionych cyrkułach widzieć można w każdym prawie rogu ulicy handel wina.

Często sto kroków nie zrobisz abyś czterech nie zobaczył; pospolicie naprzeciw siebie po obu stronach ulicy umieszczeni są handlarze win, dalecy jednak aby sobie szkodzić; owszem wspierają się wzajemnie.

Pijak mogąc chodzić jeszcze, nieomieszka wyszedłszy od jednego handlarza win, wstąpić do drugiego aby klin klinem wybił.

Jednakże mimo wielkiego odbytu wina w Paryżu, możemy przyznać że mało spotyka się pijaków; Francuzi piją często, dodają sobie minę do naturalnej wesołości, ale rzadko się upijają, ci zaś których zupełnie spitych napotkać można, spiących w rogu ulicy, są wyjątkami, a wiadomo wam że wyjątek przemawia na korzyść ogólnego prawidła.

Dawniej ludzie swiatowi, literaci panowie, sam dwór nie wstydził się chodzić na obiad lub kolacją do prostego szynku. Pod Ludwikiem XIV, *Chapelle, La Fontaine, Bachaumont, Boileau, Scaron* i tylu innych zbierali się tu naśmiechy, dysputy. Włuczęgi, birbanty téj epoki mieli tu schadzki opowiadali sobie swe zwycięstwa miłosne i kończyli zwykle posiedzenia tłukąc wiele talerzy i butelek, hałasując a często bijąc szynkarza na swawoliwszy się z jego żoną, córką i sługami jeśli pięknymi były.

Wszystko to dowodzi że dawne szynkownie były dzisiejszemi restauracyami. Tylko winniśmy dodać że dziś przyzwoiciej rzecz się wykonywa.

Jeśli czasem nasi panicze, lwy, dandy zbyt wesoło u restauratora się bawią jeśli tłuką

butelki i kieliszki szampańskie, płacą gospodarzowi, ale go nie biją ani z kobietami jego nie swawolą. Wyższość więc naszemu przynależy wiekowi.

Jakiś czas przed rewolucją z 1789 r. dla tonu mody i rozerwania się odwiedzano niekiedy sławniejsze szynki, jak naprzykład *Ramponeau* w Courtille, *Grand Salon* przy ulicy Coquenard gdzie nawet niekiedy tańczono; w ogromnej czworograniastej sali, która za całą ozdobę miała stoły bez nakrycia umieszczone wzdłuż muru, wyniesiono orkiestrę. Jedni tańczyli, może nieco rozwiązle, drudzy pili przypatrując się tańczącym: Tańczono zwykle *szaloną galopadę* której przykład dziś jeszcze widzieć możesz na balach w teatrze opery.

Obecnie kupcy wina mają sklepy dość czyste, kantory porządne, często szyldy dość komiczne. Czytasz zawsze na drzwiach ich sklepu: *handel win*, gdyż dziś każdy sprzedający chce być handlującym; również nad wnijsciem do sklepu które jest podobne do szopy, czytamy *handel pieczonych kartofli*, na innym *handel arlekinów*, a wiesz że arlekin są resztki mięsa ugotowanego, kupowanego od kucharek pożądnych domów, a następnie składającego objad mularza albo struża.

Prawie u wszystkich handlarzy win przekąsek dostać można.

W cyrkule Cité gdzie pełno handlów winnych czytamy nad szynkiem dość porządnym z pozorów: *Al hasard de la fourchette* Chcieliśmy wiedzieć jaki to los, co za loterya, dziś gdy gry hazardowne zakazane.

Otóż cośmy widzieli.

W niezmierném naczyniu, na ciągłym ogniu widzisz gotujący się *frykas* (wyraz techniczny) nie wiem z jakiego mięsa, które pływa nie wiem w jakim płynie. Za sou masz prawo wziąć widelec i zanurzyć w témże naczyniu; natychmiast jednak wyjąć.. co robisz właśnie, gdyż gorąco tego *frykasu* nie pozwala ci długo trzymać rękę nad naczyniem.

Skoroś był dość szczęśliwym aby wyjąć kawałek mięsa, to już jest twoje; jeśli widelec próżny wyszedł co się najczęściej zdarza.... masz prawo drugi raz zanurzyć, płacąc sou drugie. Otóż to *hasard de la fourchette*

Są także kupcy wina u których pija się na godziny. Powszechnie piętnaście sous na godzinę, co sprowadza często wielkich konsumatorów, którzy na posiedzeniu jednogodzinném sądzą że wypiją wiele garcy wina. Wchodzą, oznaczają godzinę zupeł-

nie jak na bilardzie. Ale cóż potem następuje? Amator, który chce użyć dobrze swęj godziny, nieustannie pije; nie potrzebuje prosić; przynoszą mu wino, jak tylko spostrzegą że mu brakło. Cóż wtedy następuje? Oto że nim godzina upłynie nasz jegomość zupełnie spiwszy się zasypia na stole. Pojmujesz że się nie śpieszą z przebudzeniem. Skoro się gość przebudzi i woła chłopca, spostrzega że przepędził sześć albo ośm godzin u kupca wina i musi za nie zapłacić jakby pił ciągle.

Kupcy win zwykle są odwiedzani przez wyrobników, rzemieślników kommissionerów, fabrykantów. Jeden wchodzi z przyjacielem; drugi pije prędko i powraca do pracy; tamten przychodzi aby zapomnieć troski domowe, ten że dobry zrobił interes. Pijają dużo u kupca wina, a często rzemieślnik uczciwy i pracowity trąca swój kieliszek o kieliszek urwisa nieznajomego; wino zbytnią poufałość zaprowadza.

Ale jeśli widzisz u kupca win elegantów, zdających się mieć wychowanie i dobre obejście, strzeż się ich, gdyż nie są na swoim miejscu, a rzadkiem jest aby człowiek z własnej sfery wystąpił bez tajemnego celu, lub ukrytych zamiarów.

KUPCY KONTRAMAREK.

Otóż nowy rodzaj przemysłu, znany tylko w Paryżu ale też proszę mi pokazać miasto któreby miało przeszło dwadzieścia teatrów.

Gdy w czasie entr'actu wyjdiesz z widowiska, natychmiast zastępuje ci drogę, otacza cię, nie przepuszcza i zatrzymuje masa ludzi dość złej miny, jedni prawie bez odzienia, inni w bluzach, większa część w kapeluszach połamanych na bok głowy wsadzonych. Ludzie ci przychodzą do ciebie, jeden z przodu drugi z tyłu, wielu z boku; zachodzą

ci drogę; niepozwalają iść dalej, wyciągają brudne, czarne, pokaleczone ręce które pod nos ci prawie wtykają krzycząc:

- Dla mnie łaskawy panie....
- Dla mnie jeśli Pan nie powrócisz....
- Mnie Pan daruj.... co to Panu potem?...
- Łaskawy Panie daj Pan kontramarkę...
- Nigdy nie widział komedyi....
- Ah Panie bądź wspaniałomyślnym!...
- Ah Panie, daj mi ją!

Ale od kilku lat gdy, niezawodnie publiczność pokazywała się nie dość wspaniałą, trudniący się handlem kontramarek postanowili zrobić z tego zupełny handel, że zaś handel polega na sprzedaży i kupnie, chcąc więc sprzedawać zaczęli odkupowania. Zatem do wszystkiego co ci dawniej mowiono, i dziś jeszcze mówią (gdyż zawsze są tam indywidua coby tylko brać chcieli) prawdziwi kupcy kontramarek, dodają:

- Czy Pan sprzedajesz?
- Czy Pan Zbywa?
- Ile Pan chce?
- Któż sprzeda swą kontramarkę?
- Dziesięć sous za parter... Któż weźmie dziesięć sous? daję dziesięć sous.

Dla tego też kontramarka sprzedaje się teraz jak i inne rzeczy; ma swą cenę, podnosi się, spada podług wartości sztuki którą grają; musi być koniecznie droższą o ósmiej

godzinie niż o dziewiątej, o dziewiątej niż o dziesiątej. Można kupić w oznaczonym czasie, robić handel jeszcze na końcach przedstawienia.

Ale pojmujesz że musi być wojna między prawdziwymi kupcami kontramarek którzy kupują i sprzedają takowe, a tymi którzy darmo o nie proszą; pierwsi chcą być sami panami zysków teatralnych. Skoro spostrzegają tych których zowią: *des galeux*, stają przed nimi i odpychają ich wołając:

— Nie odejdiesz ty filucie!... cóż to ty tu robisz?... ty nas gubisz; chcesz wziąć nam chleb z pod nosa, i myślisz że to ścierpiemy!

Czasem *galeux* się opierają; nie dadzą się wypychać, stoją odpowiadając:

— A więc cóż to ci szkodzi jeśli tu stoję... czyż to bulwarki nie są wolne... Nie wypychaj mnie... złodzieju!

Natychmiast odejść musisz, albo zalepię ci pysk!

— Przybliź się więc zobaczymy!... Kontramarkę łaskawy Panie... Ah dziękuję!

Jeśli *galeux* dostał kontramarkę od kogo który nie wróci do teatru, kupcy są bardziej jeszcze wściekli, wpadają na takiego i obsypują kulakami; ten w obronie krzyczy: *massa* zbiera się; nie można przejść przed teatrem, sierżanty i gwardya muni-

cypalna w to się wdaje; rozpędzając, wołając:

— Precz bestyjstwo! chcecie się bić, to idźcie gdzie indziej albo pójdziecie do kozy.

Rozchodzą się więc, spokojność powraca i prawie zupełnie łatwo wejść i wyjść z teatru można.

Od czasu jak sprzedają kontramarki u drzwi teatru, jest wielu którzy robią sobie przyjemność idąc tam o dziewiątej lub dziesiątej godzinie; dwie tylko sztuczki widzą, czasem już jedną; ale to taniej, a nie każdego worek może dać sposobność widzieć całe przedstawienie.

W teatrach gdzie kończy się powszechnie wielką sztuką, dramą w wielu aktach, ci którzy o dziesiątej przychodzą nie widzą nigdy początku przedstawienia, ale starają się go odgadnąć, a co w nowych dramach nie zawsze jest łatwym. Natychmiast należy szukać rozmowy z sąsiadem, i prosić o opowiedzenie pierwszego aktu.

Są w Paryżu ludzie bardzo szanowni którzy często biorą ostatnie akta za całą sztukę; jednakże cenzurują, krytykują, i nie raz można ich słyszyć mówiących:

«Autorowie mają teraz manią pisać zbyt «zawile, niezrozumiale; niepodobna odgadnąć ani zrozumieć wątku.»

Szczególniej cię uderza, gdy przechodzisz

przed teatrem już w większej połowie widowiska, wymowa z jaką kupiec kontramarek przedstawia ci kontramarkę:

— Chcesz Pan słyszyć orkiestrę... orkiestrę zachwycającą; a to dopiero drugi akt się zaczyna... ah to sztuka która unosi... może Pan wolisz galeryą na prost sceny... najlepsze miejsce z parteru... dekoracye w ostatnim akcie zupełnie są nowe... najświetniejszego dramatycznego autora... to prześliczne! to mieć będzie czterysta reprezentacyi... Wejdźżesz Pan... są wszędzie miejsca.

Niekiedy kupiec kontramarek wkłada ci w rękę kontramarkę, mówiąc:

— Weź Pan... zapłacisz mi wychodząc!

Milicya miejska często stacza łowy na kupców biletów i kontramarek. Nie ma nic złego aby prosty człowiek dostał kontramarkę od osoby która nie może być na końcu przedstawienia, albo też aby pracujący do dziesiątej godziny w domu handlowym, nie pozwolił sobie wejść do teatru, czegoby nie uczynił bezwątpienia gdyby za cały bilet zapłacić musiał.

Ale należałoby zapobiedz, aby kupcy kontramarek, wagusy, włóczęgi i wszyscy którzy temu przemysłowi się oddają, nie zapychali przejścia przy teatrze tak dalece że kułakami musisz sobie torować drogę.

Paryżanie, przyzwyczajeni do widowisk,

umieją łatwo oswobodzić się od kupców kontramarek; ale cudzoziemiec, obywatel z prowincyi nie wie czego chcą ludzie na niego wpadający, jeśli nieszczęściem wyjdzie w czasie entr-aktu; to go nie zapewnia... wszystkie ręce zdają się żądać jałmużny, albo starają się ogołocić z zegarka i chustki równocześnie z biletem.

Jegomość z prowincyi przybywszy do Paryża z żoną, poszedł z nią do teatru; jest to rzecz najpierwsza którą chce każdy przybywający spróbować w Paryżu. Idą do teatru, gdzie jedenaście aktów podług zapowiedzi grać mają. W czasie entr-aktu małżeństwo wychodzi orzeźwić się w kawiarni sąsiedniej. Zaledwie weszli na bulwar, otaczają ich ludzie źle ubrani, ściskają wołając w uszy jegomości mającemu w ręku kontramarkę:

— Czy chcesz ją zbyć, łaskawy Panie... no, puść ją.

— Daruj nam ją.

— Daję panu piętnaście sous, więcej nie warta.

Państwo ci z prowincyi nie mając żadnego wyobrażenia o handlu, któremu ludzie ci się oddają, sądzą że im zupełnie co innego proponują. Mąż sądzi że ofiarują mu za żonę piętnaście sous, zapewniając że więcej nie warta. Żona sądzi że ludzie ci chcą

ją uprowadzić, odłączyć od męża, któremu mówią: puść ją. Obydwoje przestraszeni drżą, mąż krzyczy:

— Jak to!... chcecie prezentu! abym ją wam oddał.... naprzykład.... a to pięknie.... wasza propozycja jest podła!

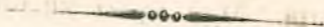
— Mój kochany nie słuchaj ich, dawać ci piętnaście sous... to są nędzniki.... i cierpią takie łajdastwa przed teatrem.... Ah Boże! co za niebezpieczny w Paryżu pobyt... uciekajmy mój mężu....

— Choć moja kochana.... pytać mnie czy chcę się jej pozbyć!!.... co za zbrodnia! puście nas niegodziwce, albo zawołam na wartę....

— Uciekajmy mój kochany.... opuścimy te miejsca....

Małżonkowie uchodzą nie śmiąc spojrzeć za siebie, postanawiając niepowrócić na teatr, gdyż zbyt wielkie jest przy wyjściu niebezpieczeństwa; a powróciwszy do hotelu wierny małżonek bierze żonę w objęcia, patrzy na nią z czułością wołając:

— Dawać mi za nią piętnaście sous! by-
toż po co przyjeżdżać do Paryża!?



NOCLEGI.

NIEMOŻE to się nazywać hotelem gdyż istotnie niema pozoru hotelu dom, na którym widzisz szyld zapraszający na nocleg.

Domy te po większej części mają widok posępny który wzbudza podejrzenie, stare czarne mury, okna w małych kwadratach, w większej części potłuczone i naprawione mniej więcej dobrze kawałkami papieru, bez franek, na dole prawie zawsze kupiec wina albo przekupka sprzedająca węgle ziemne, wreszcie wchód ciemny, czarny, brudny — otóż dom do którego cię na noc zapraszają.

Trudnem jest widzieć co mniej umebło-

wanego jak pokoje domów tych, dla nocnych lokatorów; ale przyzwyczajeni do tego nie są wybrydni, są to, po większej części; wyrobnicy, którzy od dawna nie mają roboty; pruzniaki; którzy chcieliby nic nierobić marudery; zli ludzie, czasem nieszczęśliwi nie mający żadnego schronienia; ale najczęściej także wypuszczeni z więzienia i złodzieje, nie chcący zostawać na ulicy gdzieby mogli być zatrzymani; tacy to idą do tych domów szukać łatwowiernych albo nowego kolegi.

Za cztery sous masz prawo przepędzić tu noc całą. Ale pokój nie dla ciebie jest jednego. Otwierają ci już zamieszkały czasem przez dwanaście osób, na kształt tatarów bez koszul, którzy nie znają co to jest umyć się i ogolić.

Wystaw sobie izbę piętnaście stóp kwadratowych mającą; niczém nie obitą, byłby to nieużyteczny zbytek, a oprócz tego byłoby to subiekcją dla lokatorów którzy mają zwyczaj węglem na ścianach bardzo rozmaite rysunki robić. Pościelą jest siennik umieszczony na ziemi w koncie pokoju, gruba lniana kołdra służąca za ochronę śpiącemu od zimna i wilgoci, poduszki i prześcieradła są tu nie znane, kilka krzeseł słomianych, stary piec dymiący, lampa za ledwie oświecająca, oto jest co w wielkim mieście służy często za schronienie przez noc pie-

tnastu lub więcej jego mieszkańcom.

Znajdziesz podobne domy na przedmieściach, w cyrkulach zaludnionych, a mianowicie ze strony targów. Dawniej wynajmujący nie mógł przyjąć nikogo w czasie nocy jeśli mu nie pokazał książki a przynajmniej jakich papierów zaświadczających jego nazwisko i stan. Ale wynajmujący których moralność rzadko jest surową i którzy przede wszystkim starają się o odbycie, przyjmują wszystkich którzy się nastreczą, nie troszcząc się o to z kąd przybywają lub czém się trudnią. Dla tego też policya częste czyni rewizye tych domów, które zbyt często służą za schronienie zbrodniażom.

Ty co zamieszkujesz piękny, dobrze umeblowany lokal, który nie przyjmujesz do swych salonów tylko ludzi dobrego tonu, których obójście jest eleganckie, nie możesz mieć nawet wyobrażenia co to jest owo miejsce które opisujemy. Wtedy gdy się wygodnie rozwalasz na dywanie, lub na sofie plecy na poduszkach wsparłszy... gdy drżysz i gniewasz się skoro zostawią zbyt długo drzwi otwarte; tam, dwadzieścia osób prawie jedna na drugiej mieści się, w jednym czarnym zadymionym pokoju, jedni spią na siennikach na ziemi około muru rozłożonych, ini siedzą, wszyscy prawie źle są odziani, ale palą fajki; ci którzy kilka sous mają jeszcze

piją i częstują przyjaciół, gdyż są przyjaciółmi skoro w jednej izbie mieszkają.

Ludzie ci, których widok przykry oku, śpiewają, śmieją się między sobą, i oddają się wesołości.

Trzeba i takich schronień w wielkim mieście ale byłoby lepiej gdyby puste pozostały.

ŻEBRAKI.

DOSZLIŚMY do zniesienia żebractwa w wielkim mieście, gdzie nie dawno jeszcze kroku zrobić nie można było, nie będąc zastąpionym przez masę biednych... lub też udających że są takimi, wyciągających do ciebie ręce, jeden pokazując ci nogę skaleczoną, inny ramie, ten głos zmienia, tamten pantominy robi aby cię bardziej rozczulić. Jeśli sztuka żebrania u nas nie doszła do tegoż samego stopnia doskonałości co w Hiszpanii, mieliśmy jednak kilku doskonałych w tej gałęzi przemysłu.

Dzięki niebu że oczy nie są więcej różne tymi obrazami ran, nędzy, które wystawiano jak towar na widok publiczny.

Niema więc żebraków w Paryżu; ale zawsze są nieszczęśliwi.

Nie śmieją żebrać, bo zabroniono; ale patrzą na ciebie, zatrzymują się przed tobą z twarzą bolesną!... Niepodobna niezrozumieć tego, nic ci nie przeszkadza ulżyć poruszeniu ludzkości, nakazującej podać rękę pomocną temu którego widzisz nieszczęśliwym, gdyż chociaż zabroniono żebrać, jednak dać nie bronią.

Są również tacy którzy używają stanu tego za pozór dla wyłudzenia wsparcia, nie obawiając się kary za przekroczenie prawa.

Skoro biedna kobieta trzymająca dziecię na pół okryte w swych rękach, nadstawia ci piórko do zębów.... szpilki, albo też bukiet zwiędły... kupuj prędko, bez namysłu... masz nawet prawo dać sou i nie wziąć towaru.

Dawniej zbyć można było słusznie żebraków natrętnych zapełniających place, bulwary, przechadzki.

Ileż to razy widziano kulawego w jednym, a tego samego znów bez ręki w drugim cyrkule.

Ten znów udawał ślepego w Marais, miał psa, kij, nic nie brakowało; doskonale odegrywał swą rolę.

Gdys się przechadzał na przedmieściu Saint - Germain, zachodził ci drogę niemy prosto na ciebie idąc, dając ci do zrozumienia na migi że nie słyszy. Poznawszy w nim ślepego z Marais, mówisz mu :

— Nie jesteś więc już ślepym; któż cię wyleczył? to doskonała kuracya.

Niemy natychmiast ci odpowiada :

— Mylisz się Pan, nigdy ślepym nie był.

Nie przypadłóżesz ci jeszcze często zatrzymać się na bulwarze albo ulicy, aby rozmawiać z piękną damą którąś oddawna nie widział, a z której spotkania masz wielką przyjemność.

Wtedy, skoro jesteś w trakcie rozmowy którą chciałbyś przedłużyć, mały chłopiec z obnażonemi nogami i piersią, zresztą w podartej odzieży, bieży do ciebie i wsuwa rękę między ciebie a osobę z którą rozmawiasz, mówiąc żałośnie :

— Łaskawy Panie, jest nas ośmioro dzieci, ojciec bez sposobu do życia, nie mamy kawałka chleba u siebie; proszę o sou, bądź pan łaskaw, daj na chleb.

Chcesz oddalić małego żebraka odpawiając mu opierzchliwie :

— Nie mam drobnych!... Poczém wracasz do rozmowy z damą, ale mały żebrak niełatwo się zaspokoi, słyszysz ciągle :

— Jedno sou, zechciój na chleb dać łaskawy Panie.

Niecierpliwisz się tym postępowaniem, odpychasz żebraka mówiąc:

— Precz, daj nam pokój.

Chłopiec odszedł z prawej aby przejść na lewą rękę i musiałeś mu co dać aby się go pozbyć, a z twoim sou poszedł grać w kręgle.

Ileż to także razy nie byłeś napastowany od człowieka pijanego który mówił:

— Od trzech dni nic nie jadłem.

A skoro się z niesmakiem oddalałeś od tego żebraka który ci drugi rozdział *Gil Blas*a przypominał, słyszałeś z tyłu mówiącego:

— Idź łajdaku!... idź w sukni zupełnie nowój... nosi rękawiczki więc już nie może przynieść pomocy biednym ludziom!... złośliwy!... skąpiec.... Ja ci jeszcze pożyczę jeśli zechcesz....

I inne w tym rodzaju grzeczności. Wielkie miasto powinno znajdować się szczęśliwe iż go z tego łajdastwa oczyszczono.

Jednak wspierać ubogich można chociaż nie ma żebraków, gdyż między potrzebniemi, nie zawsze ci którzy żebrzą, najgodniejszymi są pożałowania.

CIEMNE KAWIARNIE (ALKIERZE) SOURICIÈRES.

W PARYŻU, tak zowią nietylko miejsca nie czyste źle utrzymywane, ale także uczęszczane przez ludzi bez zatrudnienia, filutów, złodziei, i wszystkich stolicy wyrodków, którzy ciągle są w ruchu.

Alkierz chce często być kawiarnią, ale wcale do tego niepodobny. Przechodząc przed brudnym i czarnym domem, spostrzeżasz pewien rodzaj magazynu źle oświetconego; przez małe okna potłuczone pozalapiane papierem, nie spostrzeżesz wewnątrz

żadnego rodzaju towarów, ciekawys co tam może być do sprzedania.

Ale jeśli chwilę się zatrzymasz, wkrótce zobaczysz wchodzących i wychodzących. Są to źle a czasem wcale nie okryci ludzie; większa część ma twarz bladą, oczy zapadłe i złowieszcze wejrzenie, gdy się śmieją nie wesołość twarz ich wyraża, ale zuchwałość, zepsucie, występki w całej szkaradności.

Mianowicie przykrém jest widzieć młodzież, nawet dzieci między tego rodzaju ludźmi, od czternastu do piętnastu lat liczących; wiedzeni złym przykładem, porzucili pracę, warsztat, dom rodzicielski, idą tu pędzić życie próżniackie, rozpustne, gry, i nieporządku, co ich doprowadzać musi do kradzieży i rabunków.

Wnętrze tych *ciemnych kawiarni* jest straszne: gaz wcale znany tu nie jest, a olej bardzo oszczędzany daje światło słabe, ociemnione powietrzem zadymionem, wszyscy bowiem palą tytuń. Wśród téj atmosfery dusznej, gorącej, wilgotnej do czego łączy się odór wina, gorzałki, innych jeszcze napojów i oddechy tych panów, którzy tylko się śmieją gdy wpadną w kałuże, dostrzegasz jednak stoły i bilard.

Massa ludzi napelnia to miejsce: są którzy siedzą przy stole, pijąc wino i li-

quor.... (kawa nie jest w tych kawiarniach znaną a przynajmniej byłoby to nadzwyczajném); jeden na pół spity śpiewa rozwiązłą piosnkę; drugi już usnął na stole, sąsiad jego upadł przy nim, nie widzą potrzeby nawet go podnieść. Dalej grają w karty.... co za karty! nie można koloru rozróżnić; panowie ci oszukując się wzajemnie, wprawiają się do złapania fryców którzy im wpadną pod rękę.

Przy bilardzie widzisz więcej osób; mają grać w pulę, wprzód jednak zakładają się, wyciągają numera.... wtedy szukają po kieszeniach; a to cię zadziwi że zobaczysz bilardzasypany pieniędzmi czasem nawet złoto jest tu ciskane.

Pieniądze u człowieka którego bluza w wielu miejscach podarta, którego spodnie źle połatane, u ludzi których policzki zapadłe i twarz nędzna zdają się zapowiadać biedę i potrzebę, u ludzi którzy prawie boso chodzą.

Cóż o nich myśleć wypada? że odejmują zaufanie z wejrzenia nędzy i nieszczęścia.

Aby zrozumieć co jest przedmiotem ich rozmowy, nieodzowném jest znać szwargotanie ich, to jest język im właściwy.

W ulicy Bondy, z tyłu odwachu Chateau-d'Eau, jest podobny zakład znany pod imieniem *Rendez-vous des Quatre Billards*,

(schadzka czterech bilardów) a jednakże jest ich tam siedm. Siedm bilardów prawie ciągle, nocą i dniem, zajętych, uważaj z tego co za massa przyzwyczajonych tu chodzi, i wiele jest w Paryżu tego rodzaju ludzi, których wziąłbyś za żebraków, a którzy życie swe przepędzają na grze, pijatyce, próżniactwie, jeśli się czym gorszym nie zajmują.

Idź za tym młodzieńcem zaledwie szesnastcie lat liczącym; jest on wysoki, szczupły, twarzy przyjemnej, szczerzej prawie, oczów niebieskich dość łagodnych, niemających jeszcze bezwstydu niegodziwości, utrudzenie tylko zdaje się gnębić jego siły, chód jego jest już ciężki i niepewny; niebieska dość czysta bluza, spodnie szaraczkowe, dobre obuwie, czapka prawie nowa, oto jego ubranie. Przechodzi przed *alkie-rzem* i nie wie czy doń wejść; gdy w tém dwóch innych przybywa również.

Jeden trzydziestoletni, mały, garbaty, czarny, szkaradnej trarzy, ma na głowie coś nakształt czapki bez formy, z niezmiernym kutasem nad czołem wiszącym kurz z niego ścierającym; ma na sobie zły szaraczkowy kaftan, i spodnie z grubego płótna dochodzące zaledwie do połowy nóg; uśmiech tego człowieka dający widzieć dwa wielkie

zęby naksztalt kłów dzika, ma coś straszne-
go i piekielnego.

Drugie indywiduum jest wysokie, chude
jak szkielet, żółtej twarzy, wyjąwszy nos
który jest czerwono-niebieski, twarz i spoj-
rzenie ma nikczemne.

Ubrany jest jakby w paletot, ale bez guzi-
ków, tasiemkami powiązany; na głowie ma
coś w kształcie starego kapelusza okrągłe-
go, bez formy; kawałek sierci z materaca
zwiniętej w sznur służy mu za chustkę na
szyję. Obie ręce trzyma w kieszeniach, któ-
re zdają się być napelnione różnemi przed-
miotami.

— I cóż, *móme*, czyż tak przejdiesz?
mówi niższy uderzając w ramię dzieciaka.
Czyż to bieżysz do olszynki, zamiast wejść
i używać ze staremi.

— Ah! to ty Coquardet! odpowiada młody.
Otóż masz Léflanquego.... Widzicie sze-
dłem do pracy... chociaż większą mam ochotę
próżnować.

— Oh! ty moralisto! lepiej chodź z nami
wilczyć.... widzisz *dwa filary i knot się
palący*.... Czyż się pracuje skoro się ma co
trzeba. Léflanqué, prędko wejdźmy z mło-
dzikiem!

Wysoki nędznik Léflanqué otworzył drzwi
do komórki; dzieciak pozwala się wciągać;
widzisz go tu wpośród massy ludzi tego jak

dwóch opisanych rodzaju, którzy patrzą na niego rzucając wzajemne porozumiewające się spojrzenia, każą mu pić, grać; wyjmuje dwie sztuki pięciu frankowe z kieszeni, co spostrzegłszy Coquardet, woła:

— *Bigre!*... cóż to znaczy! Czyż ty masz minę z którój kopiesz złoto?

— Nie... Nie!... głupstwo! przeciwnie, gdyż wczoraj okradziono, otworzono kufry u nas gdym *wilczył*, moja matka poszła oddać robotę, a otworzono mieszkanie.... zwinięto wszystkie gospodarskie zapasy matki... w ogóle skradziono wszystko! nic nie mamy.... Dla kawałka chleba matka się zdecydowała sprzedać pierścionek.... Zaniósłem go do kupca, który mi dał te dwie sztuki, na co matka czeka, gdyż jeść co nie ma... a gdy je przegram.... i stracę....

— Nie obawiaj się!... my mamy pieniądze, damy i tobie, jeśli z tobą krucho!

Dzieciak uwodzi się; gra i przegrywa pieniądze które miał matce zanieść; okropny Coquardet wygrywa od niego bluzę za swój surdut; Léflanqué wygrywa od niego nową czapkę a daje mu podarty bez formy kapelusz. Wreszcie gdy grał dzieciak o dobre szaraczkowe spodnie, a drugi o swe płucienne, przybywają nowe indywidua do komórki, przybliżają się do stołu graczy.

Jeden z przybyłych uderza w ramię Léflan-
quégo, wołając :

— A więc jak wczoraj poszedł interes...
kręciłeś się z Coquardetem w ulicy Fontaine
au Roi... Widziałem cię oświeconego latar-
nią, był to sam czas... nie mógłbyś być oszu-
kanym!

Za całą odpowiedź, obydwaj do których
to się ściąga, śmieją się na głos i piją do
dzieciaka. Jednakże ten na pół dopiero spity,
uderzony tém co słyszy; patrzy na mó-
wiącego i woła:

— Jak to.... ulica Fontaine au Roi... wczoraj...
cóż oni tam zrobili?

— Okradli!....

— Kogo?

— Kogo.... ale.... czyż to ty nie wiesz...
u twój matki.... oni to wszystko jój wy-
nieśli.... Gdym cię z nimi pijącym widział,
sądziłem żeś o tém wiedział... żeś swą część
odebrał!...

Młodzieniec cały osłupiał; błądź śmier-
telna okrywa twarz jego, spogląda błędnym
na obu graczów okiem; którzy krzyczą rado-
śnie, potem napelniają szklankę swój ofia-
ry, i podają mu mówiąc:

— A więc, tak, my to was okradli!.... nie
ma o czym myśleć.... dalej nie bądź głup-
cem.... palnij... my szyciemy ze wszystkie-
go.... jesteście jak rękawiczka.... ty tóż sa-

mo czynić będziesz.... nie powracaj do twój nędzy... możesz tu pozostać!

Dzieciak kilka chwil stoi niepewny, ale otaczają go, śmieją się, krzyczą, śpiewają, błazeństwa wygadują, a nieszcześliwa ofiara kończy trąceniem szklanki z temi nędznikami którzy okradli jego matkę.

Anegdota ta może dać wyobrażenie o tym co się dzieje w komórkach podobnych w Paryżu, *ab uno disce omnes.*

Było dawniej w wielkim mieście miejsce zwane *Souriciere*; mieściło się na środku targów. Najpodlejsza to była kawiarnia tego rodzaju w Paryżu. Schadzka złodziei, złodziejek, dziewcząt złego prowadzenia, wyszłych z pod sądu i wszystkiego co jest najgorszym w Paryżu. *Souriciere* taką miało reputacją że cudzoziemcy i ludzie znakomici stolicy nie obawiali się czasem tu awanturować, ciekawi widzieć okropne obrazy jakie przedstawiała.

Dom gry przy ulicy *Saint-Honoré*, obok kawiarni *Régence*, znany pod nazwiskiem *Hôtel d'Angleterre*, ubiegał się o pierwszeństwo z *Souriciere*. Jednakże *Hôtel d'Angleterre* był arystokracją przestępców. Miał *roulette* i tym podobne gry. Ci którzy stracili dużo w *roulette*, mieli sposobność wynagrodzenia straty w innych grach.

Hotel d'Angleterre również jak *Sou-*

riecire był całą noc otwarty a wielu w Paryżu innego mieszkania nie mieli.

Zniesienie domów gry spowodowało zamknięcie *Hotel d'Angleterre*, a od kilku lat *Souricière* nie istnieje.

Ale inny tego rodzaju zakład w tym samym cyrkułe powstał. W *Charniers des Innocents* znajduje się nowy *Souricière*; ten idzie w ślady dawnego. W miejscach tych całą noc otwartych, wiele widzieć można ludzi okropnie brudnych, wiele starych pijanych kobiet, gdyż kobiety są przypuszczone do tego wszystkiego. Gałganiarze mają prawo składać tu swe kosze; i byleś za dwa sous co kupił, możesz noc całą przepędzić.

Souricière bardzo są pospolite w *Cité*; są w których się na wszelkiego rodzaju spekulacye oddają; wiele młodych dziewcząt, faktorek wszystkiemu oddać się są skłonne w tych dziurach, prowadzone przez inne osoby swój plci, obrzydły ciągnące zarobek z młodości a czasem z powabów twarzy. Ulice *Grande-Friperie*, *Saint-Eloy*, *Jean de l'Epine*, mają sławę z swych *Souricierów*; tam kryta szafa jest pokojem zamieszkałym przez kobietę....

W innej *Souricière*, położonej przy rogatce *Mont-Parnasse*, jest izba którą gospodarz się szczyci że jest dość rozległą, gdyż dwustu gałganiarzy może się w niej prze-

chadzać wygodnie z koszami na plecach. Co za piękny widok gdy zgromadzenie znajduje się w zupełnym komplecie.

Ale najciekawszą *Souriciere* jest położona przy ulicy Fers. Jest to sławne miejsce pocieszenia. Mieści się w głębi podwórza; nie jest ani sklepem, ani salą, ale pewnym rodzajem kurytarza w którym mieszczą się zwyczajnie uczęszczający.

Kurytarz ten zawsze pełny, jest mieszkaniem dla tych którzy nie mają za co iść do *Souriciere*. Tu widzieć można ludzi noc całą przepędzających o mur się wspartszy; szczęśliwi jeśli mogli jeszcze znaleźć miejsce pod murem, ponieważ tu można przynajmniej się oprzeć.

Ale w tych miejscach zawsze znajdziesz dobrego mówcę, żartownisia który kieruje rozmową, i który wiele dokłada starania aby zrobić przyjemność słuchaczom.

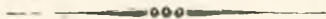
Dla tego wśród nocy gdy uczciwi mieszkańcy Paryża śpią; w jednej z tych ciemnych kawiarni, gdzie towarzystwo było licznem, gdy dobry mówca prawil o wykonywaczu dzieł wielkich w Paryżu, opisywał osoby różne, jeden ze słuchaczów zawoła:

— Pleciesz... mówisz o tém czego nie znasz, mówisz że tutejszy kat jest mały, ja ci mówię że duży!

— Mały.

— Duży.

— Ale mój kochany, ja lepiej znać go mogę, gdyż on mnie piętnował.



ROBOTE NIKIENI

KOLEJE ŻELAZNE

Idź ulicą Saint-Lazare, albo Chaussée d'Antin, zobaczysz kolęj żelazną do Saint-Germain, Versaillu, brzeg prawy Sekwany i wszystkie cudy okolic wiejskich lub miejskich na drodze będących.

Idź do rogatek Mont-Parnasse, znajdziesz *kolej żelazną* do Versaillu, lewy brzeg Sekwany; idź za ogród Botaniczny, dojdiesz do *kolei żelaznej* prowadzącej do Corbeil.

Dotąd więcej dróg nie mamy.... ale cierpliwości! niwelują, kopią, stawiają mosty.... soutereny; wkrótce jeść będziemy śnia-

danie z ostryg w Hawrze, w Strasburgu pasztet.... Co za źródło przyjemności obiecują nam *koleje żelazne!*

Co za źródło nauki!... mamy jeszcze tyle Paryżanów którzy może nie widzieli.... tylu nieznających katedry Strasburgskiej, tylu podróżnych, tylko w swych gabinetach podróżujących.... z kartą geograficzną na stole, nogi na kominku okryci szlafrokiem.... mniej to utrudza.... ale nie tyle naucza....

A potem podróż *koleją żelazną* wcale nie męczy; jest to przyjemność.... nie kołysze się a raczej nie czuć że się kołysze. Widzimy przed sobą migające się drzewa, domy, miasteczka.... wszystko to przebiega!... prędzej niż w latarni czarnoxięzkiej.... a wszystko jest istotnym, nie jesteś ludzonym optyką!... *Kolej żelazna* jest prawdziwą latarnią czarnoxięzką natury.

Dla tego nie moglibyśmy mieć wyobrażenia o zapale, radości, szybkości, z jakimi Paryżanie przyjęli *koleje żelazne*.

Pierwsza na której mogli się przejeżdżać była *Saint-Germain*; trzy czwarte mieszkańców wielkiego miasta w krótkim czasie zwiedzili to miejsce.

Cała rodzina przybywała aby użyć przyjemności *kolei żelaznej*. Przybywszy do wsiadania, rodzina zakupiona zaczyna się

gubić. Po kupieniu biletów, jeden biegł drogą, drugi szedł na galeryą, tamten czekał na sali. W tém słyhać znak do odjazdu, wszyscy się cisną, pchają, mięszają; każdy chce pierwój przybyć od towarzysza i obawiają się spóźnienia. Francuzi nigdy zbyt wiele cierpliwości nie mieli: chcą aby wszystko szło jednym ciągiem prędko i dobrze; inaczej gwizdzą, pytając się potém czyli nie słusznie gwizdali.

Wtedy, z całej rodziny która przybyła na *kolej żelazną*, dla używania wspólnie przyjemności podróży, bardzo rzadko było aby dwie osób znajdowały się w jednym wagonie.

Jeden wsiadł do wagonu, drugi do dyliżansu, ten na czele, tamten na końcu szeregu. Umieściwszy się w pojeździe, patrzo-
no na około siebie, aby poznać przyjaciół, rodziców.... Widziano tylko obce twarze.

Wtedy wstawano mówiąc:

— Przepraszam omyliłem się.... nie jestem w moim towarzystwie; powinienem był siąść gdzie indziej....

Ale sąsiedzi twoi proszą abys usiadł mówiąc:

— Już za późno.... odjechaliśmy; wysiąść nie można.

— Jak to.... odjechaliśmy!?

— Ruszyliśmy od minuty.

— Ah! to niepodobna.... niespostrzegłem się... nie czuję kołysania.

— To właśnie całą wartość stanowi.

Musieli pozostać w miejscu. Na stacyi w Pecq szukają się znowu. Jedni mówią: oni są z przodu; drudzy: że są z tyłu.... Biegnijmy, dościgniemy ich.

Każdy ścigał: a nikt spotkać się niemógł. Część dnia przepędzają na szukaniu się na tarassie w Saint-Germain, w mieście, i lesie. Zresztą niezmiernie się bawiono.

W niedziele i dnie świąteczne, tłum ciśnie się do *kolei*; ale Paryżanie zaczynają poznawać drogę: wiedzą na jaką mają iść galeryą aby przybyć do pojazdów.

Możesz widzieć oprócz tego bojaźliwe twarze ludzi, którzy nie zwykli jeździć po *kolejach żelaznych*. Prawda że wypadek okropny zdarzony na drodze lewego brzegu Sekwany, może usprawiedliwić niektórych obawę, jeżeli podobne wypadki nie należałoby uważać za kary nieba, czasem na nas zsyłane, a które w niczym nie paraliżują porządku wiecznego natury.

Tu widzisz handlarza pończoch który nigdy nie opuścił swego sklepu. Przybył na *kolej żelazną*, gdyż sąsiedzi śmieli się z niego że niejeździł parą. Ale chociaż już jest przy wagonie; nie jest jeszcze pewnym czyli się zdecyduje odjechać. Daj na niego bacz-

ność, chodzi przed biurem gdzie kupują się bilety wnijsčia... patrzy na cenę... rozważa... posuwa się... ale wiele osób wyprzedzają go idąc do biura; puszcza ich... nic go nie nagli... Jednakże znak dano, należy się śpieszyć... Szuka po kieszeni przybliżając się do biura, ale nagle kładzie pieniądze i odchodzi mówiąc:

«Wolę pojechać w przyszłym tygodniu.»

Tam znów widzisz papę który po raz pierwszy pozwala sobie z dwoma synami jechać koleją żelazną.

Obydwa chłopcy są uradowani: śmieją się, skaczą z radości, wołając:

«Ah! co za szczęście, pojedziemy na kolei żelaznej. Papa chce śmiać się także, ale obawia się, głos jego jest drżący gdy mówi do obydwóch synów:

— Tak moje dzieci, tak pojedziem, zabawiem się... Tak... ale mianowicie obawiać się nie trzeba!... Ah u djabła!... trzeba mieć rozum... nie obawiać się tunelów... to byłoby zbyt głupio.

— Oh! tak, papo!... Tak, papo.

— Dobrze!... gdyż w razie przeciwnym wolalby was nie brać... i natychmiast się powrócić. Zastanówcie się, nie jedźmy jeśli się boicie; odejźmy...

Ale papa próżno nastawał, małe chłopcy bronili się, że wcale obawy nie mają.

Daléj widzisz odważnego kapitalistę z przedmieścia Saint-Antione; którego, odprowadzają do wagonu, żona, córka i pies. Tu z niemi się żegna, jakby do Rossyi lub Chin odjeżdżał. Nie może się z psem nakaresować, nacałować córkę, przycisnąć do serca żonę.... nigdy tak czuły nie był.

Wreszcie odchodzi małżonka, ale przybiega nagle mówiąc. Czy wszystko masz? Dwie chustek.... bułkę... buteleczkę kognaku. Trzeba ci dać błogosławieństwo na drogę... A dość masz pieniędzy?

— Tak kochana przyjaciołko.

— Do zobaczenia.

Daléj widzieć można zazdrosnego małżonka pod ręką prowadzącego młodą i piękną żonę: mają do Versaillu pojechać. Pani ma pociąg jechać prawym brzegiem; ale Pan pojedzie lewym.... gdyż tu nie ma tunelów.

DAGUERREOTYPY.

W PARYŻU to *daguerreotypy* wzięły początek; w tym to mieście najpierwsze odbyto próby, i jeśli teraz powodzenie ich stało się europejskiem, wynalazek cudowny *Daguerra* nie przestaje być praktykowanym w Paryżu; przeciwnie, nabył tu prawa obywatelstwa.

Nie sami Paryżanie atoli każą się *daguerreotypować*: cudzoziemcy przybyli do Paryża, nie oddalają się bez doświadczenia tego wynalazku, jedni myśląc że w tym mieście

wszystko lepiej jak w innych robią, inni by później mogli powiedzieć:

— W Paryżu kazalem portret swój zrobić podług *Daguerra*.

Wielu jest w Paryżu gotowych zrobić twój portret nowym tym sposobem. Ramki na drzwiach domu, oznaczają trudniącego się *daguerreotypowaniem*.... gdyż powiedzieć nie można malarstwem, bo tu tylko dzienne światło wpływa:

Na rogu bulwaru Montmartre i ulicy Richelieu, w nowo zabudowanym domu przy Fraskatach, obraz zawiadomia o mieszkaniu trudniącego się tą sztuką równocześnie i o cenach. Za dziesięć franków możesz mieć portret swój wielkości miniatury, wykonany przez słońce.... gdy świeci, a nawet gdy go nie ma. Dziesięć franków, z niewielką trudnością można na nie się zdobyć; istotnie, słońce jest tanie.

Idziesz na drugie piętro, wchodzisz do pokoi podobnych do magazynu niemającego towaru; ale nie myśl nad tym, nie jest to sklep gdzie trzeba rozkładać wiele przedmiotów dla złudzenia oka, wszystko czego tu potrzeba, ogranicza się na małym pokoi-ku z płutna, postawionym przed oknem, w którym stawia się osobę dla zdjęcia z niej portretu.

Nie zawsze mały ten płócienny pokoi-
k

jest wolny; często stoi kilkunastu pretendentów, trzeba kolei czekać.

Wtedy można przechadzać się wzdłuż i szerz, siadać, a nawet rozmawiać z gospodarzem domu, wybierając formę jaką mieć chcemy; jeśli żądamy portretu za wyższą jak dziesięć franków cenę, natychmiast szukają ramek. Wreszcie dowiadujemy się jak licznych trzeba przygotowań nim się przystąpi do samego dzieła; pojmujemy że jest i w wykonaniu tego zasługa, a mianowicie trzeba dać uwagę aby portret poszedł trefnie; gdyż zapomnienie jednego przygotowania, całe działanie by zniszczyło.

Co w tym jest jeszcze ciekawego, to osoby przychodzące się *daguerreotypować*.

I tak widzisz człowieka z przedmieścia wchodzącego tu z żoną; chcą aby zdjęto ich portret, dla posłania go stariej krewnej; pytają więc o cenę.

Odpowiadają, że najtaniej dziesięć franków.

Mąż, który ma minę handlarza wołów, spogląda na żonę, wieśniaczkę w grubej sukmanie; ta podnosząc ramiona mówi:

— Dziesięć franków za każdą twas!... my tego obydwójce nie warci... tsa nas zrobić taniiej.

— Potsebujemy dwa, należy nam trocha

opuścić.... chcesz Pan sześć franków za nas dwoje?

Za całą odpowiedź trudniący się *daguerreotypowaniem* odsyła ich do zawieszonój na drzwiach taxi, i inną zajmując się osobą, odchodzi....

Przedmieszczanie radzą między sobą:

— To zbyt drogo, mówi żona.... Dziesięć franków to byłoby dwadzieścia franków za nas dwoje.... nie chcę nic.... a do tego żadnego koloru nie mają te portreta, zupełnie są carne.... wolę coś kolorowego!...

— Tak, ale ponieważ to się samo robi! mąż odpowiada, nie może więc mieć kolorów malarskich.

— Eh, to głupstwo... czyż to twarze nasze tak są czarne.... Gdy się w lustrze przeglądamy czyż my nie widzimy kolorów naszych, włosów.... nosa, oczów, sukien.... A przecież lustro nie jest malarzem.... Ah ba! wszystko to jest podstępem... Wychodźmy....

— Idźmy napsód zobaczyć taxę jego na dole, zobaczymy co tam śpiewa.

Para wieśniacza wychodzi. Jegomość z pewnemi pretensjami; z wielkimi kuleczykami w uszach, co w Paryżu zapowiada powszechnie męża praczki, albo słabego na oczy, wchodzi z dwoma damami piękną i

brzydką.... Obiedwie chcą aby zdjąć z nich portrety, jegomość im towarzyszy.

— Często już zdejmowano ze mnie portret, mówi brzydka, ale nigdy nie trafiono. Wszyscy malarze mówią że jest niezmiernie trudna do utrafienia.... ciekawą jestem czy nowym tym sposobem trafioną będę.

— Nie masz wątpliwości, mówi druga, gdyż jest to wynalazek natury. Czyż nie prawda Panie Mouille? Pan Mouille (jegomość z długimi w uszach kulczykami) wstrząsa poważnie głową odpowiadając:

— Tak.... jest to utwór.... jest to za pozwoleniem!.... rozumiesz Pani.... tak to jest utwór.

— Jest to rzecz nadzwyczajna! mówi brzydka: powiedzieć że sam robi się twój portret.... działaniem światła na płaszczyźnie.... Nie prawda Panie Mouille, że to jest siła światła?

— Za pozwoleniem Pani.... to jest dzień... i optyka.... zebrana chemią.... Wszystko to zebrane.... bardzo to jest piękne!... Tak jest to moc światła.

— Kazałżeś zdjąć obraz z siebie Panie Mouille?

— Nie Pani.... nie lubię portretów czarnych.... wolę kolorowe.... Ponieważ dość

jestem świeży, sędzę że bym wiele na *daguerreotypie* stracił.

— Ale to długo coś rzecz piękna dama do jednego z właścicieli zakładu zatrudnionego czyszczeniem tabliczki. Proszę Pana czy obraz tym sposobem natychmiast się wykonywa.

— W ciągu pięćdziesiąt sekund; ale potrzeba jakiegoś czasu nim można oddać obraz wykończonym, w razie nawet gdy jest trafiony.... co nie zawsze ma miejsce, nawet rzadko aby od razu trafiono.

— Dla czegoż to Panie?

— Pięćdziesiąt jest tego przyczyn.... jeśli się zbyt wiele jednej użyło rzeczy.... nie dosyć drugiej.... jeśli....

— Ah Panie, nie chcę o wszystkim wiedzieć, ale w razie gdy portret nie trafiony, cóż pan zrobisz?

— Powtórnie robimy, moja Pani; powtarzamy dopóki dobrze wykonaniem nie będzie. Ah nie oddalibyśmy rzeczy nie wykończonój.

Młodzieniec czekający od godziny kiedy kolój przyjdzie na niego, wstaje mówiąc:

— Ponieważ wiele kroć razy można nie trafić, a że jest pięćdziesiąt kilka tego przyczyn, to za wiele, odchodzę:

— Oto jest Paryżanin! rzecz *daguerreotypiarz*, jeśli nie jest się z niemi szar-

latanem, nie mają w tobie zaufania. Jegomość ten pójdzie w inne miejsce, gdzie mu powiedzą że zawsze się trafia, a następnie dadzą mu portret nie trafiony... Ale pokój nie zajęty... Proszę Pani się zbliżyć!

Wieśniak wraz z żoną, wstrzymuje gospodarza zakładu mówiąc:

— Weźmiesz pan za dwa portrety ośm franków.

— Nie ma tu targu, odpowiada zapytany, ceny są stałe.

— Więc pańskie portrety jak bułka za gros....

Nie odpowiada się na to miejskiej parze, a młoda dama wchodzi naprzód do gabinetu płuciennego. Siada, opiera głowę dowolnie. Przyrządzają optykę, pokazują jej zdala punkt i mówią:

— Tam pani patrz, rozpoczynamy...

— Nie będziesz się pani ruszać.

— Nie.

— Bardzo dobrze, zaczynamy.

Młoda dama nie rusza się, nie uśmiecha, nawet okiem nie mrugnie, tak pragnie być utrafioną, a jednakże minuta zbyt zdała się długą, oczy się fatygowały patrząc naprzeciw światła. Wreście zdejmujący portret złożył lunetę mówiąc:

— Już skończyłem Panią.

— Ah zobaczmy, mój Panie.

— Jeszcze nie można; możesz Pani powrócić do swego towarzystwa; wkrótce zawiadomię czym trafił.

Młoda dama odchodzi. Nowe osoby już czekają.

— A więc, rzecze Pan Mouille, skończyłaś Pani.... nie sprawia to przykrości?

— Ha! Ha! cóż ma robić złego!

— Nie, chciałem powiedzieć.... żadnego nie robi wzruszenia?

— Nieco wzrok męczy, na tym wszystko. Ah bardzo chciałabym wiedzieć czym trafiona.

Po kilku chwilach *daguerreotypiarz* przychodzi mówiąc do pięknej damy:

— Zupełnie cel osiągnięty moja Pani, portret ze wszystkim trafiony.

— Ach jakaż przyjemność!... gdzież on jest?....

— Jeszcze chwil kilka moja Pani, nie mogę jeszcze go oddać, trochę cierpliwości.

Po kwadransie portret przyniesiono. Dama zupełnie podobna, jednakże wzdycha, patrząc na siebie, mówi:

— Jak to smutne!... Jest coś w tych portretach, co daje do domysłu że je nie ręka ludzka zrobiła.... aby ukarać za odkrycie jej tajników, natura zabija nas je odkrywając.

— Na mnie kolój, rzecze brzydka dama;

zobaczemy czy natura więcej zrobi mię żywą.

W chwili gdy dama wchodzi do płucienego gabinetu, wieśniacza para staje we drzwiach i woła:

— Panie majstse portretów, dodajemy dwadzieścia ctery sous, cy nie dosyć?

Za całą odpowiedź *daguerreotypiarz* wchodzi do płóciennego gabinetu.

Brzydka dama różne bierze położenia, nie wie na jakim pozostać; co chwila jegomość mówi:

— Czy już Pani?

— Ach Panie wstrzymaj się.... chwilkę... Czyż tak, jestem dobrze?....

— Zawsze będzie Pani dobrze, jeśli zechcesz zostać spokojnie.

— Bardzoś pan grzeczny; ale pozwól.... należy przybrać postać wdzięczną... przyjemną.... Czy tak dobrze... Ach nie, wolę tak... nie, pierwój byłam lepiej... gdzie patrzeć należy?

— W ten mały punkt?

— Bardzo dobrze.... mogę śmiać się do niego?

— Wszelkie do tego Pani masz prawo, ale należy tenże sam uśmiech pięćdziesiąt sekund zachować!

— Ah Panie zachowałam nie raz cały

wieczór. Tak łatwo śmiać się umiem... w teatrze nic innego nie robię.

— A więc Pani jak chcesz?..

— Już jestem Panie.

— Zaczynamy!

Czynność się rozpoczyna: jegomość patrząc ciągle na zegarek nie dostrzega że dama ta co chwila inaczej się śmieje, aby więcej dodać wdzięków wyrazowi twarzy.

Posiedzenie skończone, dama idzie do towarzystwa mówiąc.

— Myślę że będę trafioną!

Po kilku chwilach zdéjmujący obraz przychodzi mówiąc:

— Nie trafiona Pani; wcale nie trafiona... racz Pani powrócić, powtórzemy jeszcze.

— To mnie bardzo zadziwia! Jak to nie jestem trafiona? więc i światło ma grymasy...

Dama wraca do gabinetu. Też same czyni nie pewności w przyjęciu postawy: już to przybiera twarz łagodną, już czułą, już melancholiczną; gdy się zdawała zdecydowaną, czynność się rozpoczęła; jegomość spostrzegłszy że inną twarz ciągle przybiera, zawołał:

— Zmieniasz pani twarz, znów nie będzie trafioném.

— Tak Pan myślisz? a jednak ani okiem mrugnęłam... jedno wdzięczne poruszenie głową, którem dodać chciała.

— Tu nic się nie dodaje moja Pani, obawiam się by próżną nie była cała robota.

Dama odchodzi. Zniecierpliwością oczekują wyroku jaki zdéjmujący portret wyrzeczy. Wreszcie *daguerreotypiarz* przychodzi mówiąc:

— Ach Pani! byłem przekonany.... ruszasz się, ściskasz usta, otwierasz je... pokazujesz zęby; niepodobna zdjąć trafnie portretu gdy nie zachowuje się spokojności zupełnej; zobacz Pani sama!...

Dama spojrzawszy na obraz, na którym wiele przeciwnych rysów nie dozwala dostrzedz żadnego, zawołała:

Jest tu jednak nieco z mego uśmiechu.... trochę mojej brody.... mego nosa....

— Tak, mówi Pan *Mouille*, wszystko to podwójne.... potrójne.... są ludzie którzy mają po trzy podbródki, ale nie widziałem nikogo z trzema nosami.

— A więc Panie ponieważ sądzisz że w tym moja wina więc raz jeszcze zacznijmy; tą razą przyrzekam że będę głazem!...

Dama trzeci raz siada. Ponieważ pragnie mieć trafionym swój obraz, postanawia spokojnie zostać póki nie ukończy się robota.

Posiedzenie skończone, niecierpliwią się czy tą razą byli szczęśliwsi. Wreszcie zdéjmujący portrety przychodzi i woła z twarzą zadowoloną:

— Doskonale Pani trafiona. Ah tą razą widać żeś pani była spokojną, portret doskonale zdjęty!...

— Ah Pan mnie zachwycasz, zobaczymy go....

— Zaraz pani, racz chwilę zaczekać....

Czas zdaje się damie zbyt długi która pragnie widzieć swój obraz, o którym mówią że bardzo jest trafiony.

Wreszcie oczekiwany portret przyniesiono, wszyscy się cisną, spoglądają. Pan Mouille naprzód się odzywa: *Oh dokładnie trafiona*. Ładna dama toż samo mówi.

Brzydka, zaledwie oczy rzuciła na obraz już woła ze zgrozą:

— Ah cóż to Pan mi przedstawiasz... *Nie trafiony Panie!*...Ah zupełnie tą razą *nietrafiony*.

— Ale ręczę Pani iż tą razą zupełnie dobrze wykonany.

— Nie wiem czy dobrze wykonany ale widzę że mnie zbyt szkaradną przedstawia.... i nie zdołasz we mnie tego wzbudzić przekonania że jest moim obrazem, nie trafiony, trzeba ponowić....

— To na próżno, nikt Pani lepiej nie zrobi....

— Ah Pan jesteś niegodziwy, ja tego nie wezmę!

Dama ta z natury brzydka, jeszcze brzyd-

sza na portrecie *daguerreotypu*, mówi że nie traiona i odchodzi, niechcąc wziąć portretu.

Po niej przybywa jegomość ciągle ustami ruszający, a mimo to chce mieć zdjęty portret *daguerreotypem*.

Później wchodzi inny mrugający okiem.

W końcu przybywa kobieta, której głowa ciągle się trzęsie. Wszyscy ci uwierzyć nie chcą że portretów swych w ten sposób zrobionych mieć nie mogą.

Patrz zaś na większą liczbę osób wychodzących z portretami, nie mają zadowolonej twarzy; dla czegoż?... gdyż *daguerreotypy* wcale nie pochlebiają, a prawda wcale nie zadowalnia.

MODY.

Po cóż mówić o modzie w mieście, w którym bogini ta tak jest niestałą? wczorajsza moda dziś już nie istnieje, dzisiejsza nie będzie miała jutro miejsca!...

W Paryżu osoby ściśle trzymające się mód są bardzo zajęte; nie mają chwili do stracenia, myśleć muszą o rannej, przedpołudniowej, dnia całego, wieczornej tualecie, koncertowej... balowej... Jeszcze nie koniec na tym:... należy mieć mieszkanie modne, meble także, książki również, ekwipaż, konie, zaprząg w modzie będące... Moda zaś

co chwila się zmienia.... jest to więc wielkie zatrudnienie.

Osoby te dla których moda jest wszystkim, są zwykle nieszczęśliwe gdy im czego brakuje a co miećby chciały.

Kukardy na szyję nie są w modzie; nie zapinają już sukni zbyt wysoko, kapelusz ten nie ma nowój formy; kolor ów złego jest gustu; laska zastarzała. Jeśli nieszczęściem tak byś wyszedł, nie wiedząc o tém wszystkiém zgubił byś się w oczach znajomych.... Ratuń się, kryj się prędko nim cię dostrzegą! byłbyś zniesławionym.

Jednakże nie wszyscy Paryżanie są niewolnikami mody. Ludzie utalentowani mało o niój myślą, co innego mają na głowie; niektórzy cyniczni lub inni filozofowie, pokazują dla niój pogardę, często zbyt daleko się posuwającą. *Est modus in rebus.*

Oto co w ostatnich czasach spotkało w Paryżu damę, dla której wszystkim była moda, opiszę:

Dama ta czterdzieści lat miała; była brzydka, ale nosiła różne rzeczy, brzydszą ją jeszcze czyniące.

— *Taka jest moda!* było jój przysłowie ulubione; nieopuszczała go, dodając: *nigdy źle ubraną być nie można gdy jest się ubraną podług mody.*

— Ale mówiono jój jeżeli moda jest śmieszna?

— Nie może być.

— Jeśli Pani nie do twarzy?

— To mi wszystko jedno.

— Gdyby wymagała pokazać piersi?...
których Pani nie masz....

— Pokazałabym.

— Gdyby do kolan trzeba się ugiąć?

— Ugięłabym się.

— Gdyby pokazać trzeba... podwiązkę...

— Wszystkobym uczyniła.... co byłoby
w modzie.

Mężowi damy téj, który nigdy nie podzielał zdania żony, przyszła raz myśl zrobić rysunek, przyłączyć go do dziennika mój, między ryciny tam się znajdujące.

Podług tego rysunku dama głowę ubrała ogromną marchwią umieszczoną na warkoczku. Pod rysunkiem napisane było: *Ufryzowane włosy w sposób chiński; marchew naturalna.*

Dama długo patrzyła na rysunek mówiąc:

— A to szczególne ubranie głowy.... jak to oryginalnie... *marchew naturalna*.... ah! teraz leguminy między włosy kładą!?...

Mąż ruszył ramionami, wołając:

— To godne litości! nie ma sensu!... Zda-
je mi się że tego naśladować nie będziesz?

— Dla czegoż to, mój mężu, to nie będzie

brzydko?... wcale nie brzydko!... Potém taka moda, to już dosyć. Niech przyniosą mi *marchew naturalną*, natychmiast.... piękną *marchew*. Będziem dziś na operze, chcę tak być ubraną.

Mąż chciał się sprzeciwić, żona upierała się. Wsadziła sobie *marchew* na głowę i tak była na operze ubraną.

Zrobiła nadzwyczajne wrażenie, ale nie takie jakiego się spodziewała. Każdy śmiał się jęj w oczy, szydził z nięj; tak otwarcie że nie mogła wytrzymać.

Biedna dama powróciła smutna, zmieszana mówiąc:

— To szczególne, ubrałam się podług ostatnięj mody i uważano to dziwném.

— Moja kochana, rzekł mąż.... wszystkie mody są ci nie do twarzy, powtarzam to potysiąc razy, trzeba ubrać się stosownie do wieku.... *marchew* nie przystoi blondynkom.

Odtąd dama nie zawsze do módl się stósowała.

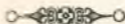
KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

W 1. TOMIE ZAWARTYCH.

	Strona.
Wstęp.	I
1 Bióro Mamek	7
2 Kąpiel domowa	17
3 Magazyny kwiatów	33
4 Składy drzewa	41
5 Latarnie	45
6 Trotoary	48
7 Placki	52
8 Kabryolet Milorda	55
9 Peruki	60
10 Zabawa w małym gospodarstwie	65
11 Stacye publicznej przyzwoitości	70
12 Filuty	83
13 Mała poczta	96
14 Literaci	100
15 Ulica Saint-Denis	117
16 Statki praczek	130
17 Notre-Dame de Lorette	133
18 Szynkownie i Dywany	135
19 Poddasza	143
20 Wiatr	147
21 Wyjście z Teatru	151
22 Handlarze Win	161

23	Kupcy Kontramarek	.	.	.	166
24	Noclegi	.	.	.	173
25	Zebraki	.	.	.	177
26	Ciemne Kawiarnie (Alkierze), i <i>Sourcière</i>	.	.	.	181
27	Koleje Żelazne	.	.	.	192
28	Daguerreotypy	.	.	.	198
29	Mody	.	.	.	211



PARYŻ I JEGO OBYCZAJE.

Za pozwoleniem CENZURY RZĄDOWÉJ.